

# Dziady Część III

## Wstęp

Opracowanie: Marek Adamiec, na podstawie: Poezye Adama Mickiewicza. Tom czwarty, Paryż 1832.

**Dziady, poema.**

**Adam Mickiewicz: DZIADÓW CZĘŚĆ TRZECIA**

Polska od pół wieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i niezłaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporczywej wytrwałości, jakich nie było przykładu od czasu prześladowania chrześcijaństwa. Zdaje się, że królowie mają przecucie Herodowe o zjawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie.

Dzieje męczeńskiej Polski obejmują wiele pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny toczą się po wszystkich stronach ziemi naszej i po obcych krajach. Poema, które dziś ogłaszamy, zawiera kilka drobnych rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania podniesionego przez imperatora Aleksandra.

Okolo roku 1822 polityka imperatora Aleksandra, przeciwna wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować i pewny brać kierunek. Wtenczas podniesiono na cały ród polski prześladowanie powszechne, które coraz stawało się gwałtowniejsze i krwawsze. Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach senator Nowosilcow. On pierwszy instynktową i zwierzęcą nienawiść rządu rosyjskiego ku Polakom wyrozumował jak zbawienną i polityczną, wziął ją za podstawę swoich działań, a za cel położył zniszczenie polskiej narodowości. Wtenczas całą przestrzeń ziemi od Prozny aż do Dniepru i od Galicji do Bałtyckiego Morza zamknięto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administracją nakręcono jako jedną wielką Polaków torturę, której koło obracali carewicz Konstanty i senator Nowosilcow.

Systematyczny Nowosilcow wziął naprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieje przyszłych pokoleń w zarodzie samym wytępić. Założył główną kwaterę katostwa w Wilnie, w stolicy naukowej prowincji litewsko-ruskich. Były wówczas między młodzieżą uniwersytetu różne towarzystwa literackie, mające na celu utrzymanie języka i narodowości polskiej. Kongresem Wiedeńskim i przywilejami imperatora zostawionej Polakom. Towarzystwa te, widząc wzmagające się podejrzenia rządu, rozwiązały się wprzód jeszcze, nim ukaz zabronił ich bytu. Ale Nowosilcow, chociaż w rok po rozwiązaniu się towarzystw przybył do Wilna, udał przed imperatorem, że je znalazł działające; ich literackie zatrudnienia wystawił jako wyraźny bunt przeciwko rządowi, uwięził kilkaset młodzieży i ustanowił pod swoim wpływem trybunały wojenne na sądenie studentów. W tajemnej procedurze rosyjskiej oskarżeni nie mają sposobu bronięcia się, bo często nie wiedzą, o co ich powołano; bo zeznania nawet komisja według woli swojej jedne przyjmuje i w raporcie umieszcza, drugie uchyla. Nowosilcow, z władzą nieograniczoną od carewicza Konstantego zesłany, był oskarżycielem, sędzią i katem.

Skasował kilka szkół w Litwie, z nakazem, aby młodzież do nich uczęszczającą uważano za cywilnie umarłą, aby jej do żadnych posług obywatelskich, na żadne urzędy nie przyjmowano i aby jej nie dozwolono ani w publicznych, ani w prywatnych zakładach kończyć nauk. Taki ukaz, zabraniający uczyć się, nie ma przykładu w dziejach i jest oryginalnym rosyjskim wymysłem. Obok zamknięcia szkół, skazano kilkudziesięciu studentów do min sybirskich, do taczek, do garnizonów azjatyckich. W liczbie ich byli małoletni, należący do znakomitych rodzin litewskich. Dwudziestu kilku, już nauczycieli, już uczniów uniwersytetu, wysłano na wieczne wygnanie w głąb Rosji jako podejrzanych o polską narodowość. Z tylu wygnańców jednemu tylko dotąd udało się wydobyć się z Rosji.

Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnym Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego\*. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacja, braterska zgoda i miłość młodych więźniów, kara Boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skryślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając. I po cóż by miał dodawać albo przesadzać; czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? czy dla obudzenia litości w Europie? — Czymże są wszystkie ówczesne okrucieństwa w porównaniu tego, co naród polski teraz cierpi i na co Europa teraz obojętnie patrzy! Autor chciał tylko zachować narodowi wierną pamiątkę z historii litewskiej lat kilkunastu: nie potrzebował ohydzać rodakom wrogów, których znają od wieków; a do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską jak niedołęzne niewiasty Jeruzalemu nad Chrystusem, naród nasz przemawiać tylko będzie słowami Zbawiciela: "Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nade mną, ale nad samymi sobą".

\* Obacz dzieło Leonarda Chodźki: Tableau de la Pologne ancienne et moderne. Małe pisemko drukowane w czasie rewolucji w Warszawie pod tytułem Nowosilcow w Wilnie, tudzież biografie Tomasza Zana w dykcjonarzach biograficznych i w dziele Józefa Straszewicza Les Polonais et les Polonaises.

## ŚWIĘTEJ PAMIĘCI

JANOWI SOBOLEWSKIEMU  
CYPRIANOWI DASZKIEWICZOWI  
FELIKSOWI KÓŁAKOWSKIEMU,  
SPÓŁUCZNIOM, SPÓŁWIĘŹNIOM, SPÓŁWYGNAŃCOM;  
ZA MIŁOŚĆ KU OJCZYŹNIE PRZEŚLADOWANYM,  
Z TĘSKNOTY KU OJCZYŹNIE ZMARŁYM  
W ARCHANGIELU, NA MOSKWIE, W PETERSBURGU,  
NARODOWEJ SPRAWY  
MĘCZENNIKOM  
Poświęca  
AUTOR

# Prolog

## LITWA

W WILNIE PRZY ULICY OSTROBRAMSKIEJ, W KLASZTORZE KS. KS. BAZYLIANÓW, PRZEROBIONYM NA  
WIĘZIENIE STANU — CELA WIĘŹNIA

A strzeżcie się ludzi, albowiem was będę  
wydawać do siedzącej rady i  
w bożnicach swoich  
was biczować będę.

Mat. R. X. w. 17.

I do Starostów i do Królów będziecie  
wodzeni na świadectwo im i poganom.

w. 18.

I będziecie w nienawiści u wszystkich dla  
imienia mego. Ale kto wytrwa aż do końca,  
ten będzie zbawion.

w. 22

(Więzień wsparty na oknie; spi)

### ANIOŁ STRÓŻ

Niedobre, nieczułe dziecię!  
Ziemskie matki twej zasługi,  
Prośby jej na tamtym świecie  
Strzegły długo wiek twój młody  
Od pokusy i przygody:  
Jako róża, anioł sadów,  
We dnie kwitnie, w noc jej wonie  
Bronią senne dziecka skronie  
Od zarazy i owadów.

Nieraz ja na prośbę matki  
I za pozwoleniem Bożem  
Zstępowałem do twej chatki,  
Cichy, w cichej nocy cieniu:  
Zstępowałem na promieniu  
I stawałem nad twym łóżem.

Gdy cię noc ukotysała,  
Ja nad marzeniem namiętym

Stałem jak lilija biała,  
Schylona nad źródłem mętym.  
Nieraz dusza mnie twa zbrzydła,  
Alem w złych myśli nacisku  
Szukał dobrej, jak w mrowisku  
Szukają ziarenek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci,  
Brałem duszę twą za rękę,  
Wiodłem w kraj, gdzie wieczność świeci,  
I śpiewałem jej piosenkę,  
Którą rzadko ziemskie dzieci  
Słyszą, rzadko i w uśpieniu,  
A zapomną w odecknieniu.  
Jam ci przyszłe szczęście głosił,  
Na mych rękach w niebo nosił,  
A tyś słyszał niebios dźwięki  
Jako pijanych uczt piosenki.

Ja, syn chwały nieśmiertelnej,  
Przybierałem wtenczas postać  
Obrzydłej larwy piekielnej,  
By cię straszyc, by cię chlostać?  
Tyś przyjmował chłostę Boga  
Jak dziki męczarnie wroga.  
I dusza twa w niepokoju,  
Ale z dumą się budziła,  
Jakby w niepamięci zdroju  
Przez noc całą męty piła.  
I pamiątki wyższych światów  
W głąb ciągnąłeś, jak kaskada,  
Gdy w podziemną przepaść wpada,  
Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Natenczas gorzko płakałem,  
Oblicze tuląc w me dłonie;  
Chciałem i długo nie śmiałem  
Ku niebieskiej wracać stronie,  
Bym nie spotkał twojej matki;  
Spyta się: "Jaka nowina  
Z kuli ziemskiej, z mojej chatki  
Jaki sen był mego syna?"

WIĘZIENÍ

(budzi się strudzony i patrzy w okno — ranek)

Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta,  
Skąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,  
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta!  
"Zaszło słońce", wołają astronomy z wieży,  
Ale dlaczego zaszło, nikt nie odpowiada;  
Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,  
Lecz dlaczego śpią ludzie, żaden z nich nie bada.  
Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali —  
Nie dziwi słońca dziwna, lecz codzienna głowa;  
Zmienia się blask i ciemność jako straż pułkowa;  
Ale gdzie są wodzowie, co jej rozkazali?

A sen? — ach, ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,  
Życie duszy, czyż nie jest warte badań ludzi!  
Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy!  
Trwoży się człowiek śpiący — śmieje się, gdy zbudzi.  
Mędracy mówią, że sen jest tylko przypomnienie —  
Mędracy przekłęci!  
Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?  
Chyba mnie wmówią, że moje więzienie  
Jest tylko wspomnienie.

Mówią, że senne czucie rozkoszy i kaźni  
Jest tylko grą wyobraźni; —  
Głupi! zaledwie z wieści wyobraźnią znają  
I nam wieszczom o niej bają!  
Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie  
I wiem, że leży za jej granicą — marzenie.  
Prędzej dzień będzie nocą, rozkosz będzie kaźnią,  
Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.  
(kładnie się i wstaje znowu — idzie do okna)  
Nie mogę spocząć, te sny to straszą, to ludzą:  
Jak te sny mię trudzą!  
(drzemie)

#### DUCHY NOCNE

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłożmy,  
Śpiewajmy, a cicho — nie trwoźmy, nie trwoźmy,

#### DUCH Z LEWEJ STRONY

Noc smutna w więzieniu, tam w mieście wesele,  
U stołów tam muzyki huczą;  
Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele,  
Tam nocą komety się włóczą:  
Komety z oczkami i z jasnym warkoczem.

(Więzień usypia)

Kto po nich kieruje łódź w biegu  
Ten zaśnie na fali, w marzeniu uroczem,  
Na naszym przebudzi się brzegu.

ANIOŁ

My uprosiliśmy Boga,  
By cię oddał w ręce wroga.  
Samotność mędrców mistrzyni.  
I ty w samotnym więzieniu,  
Jako prorok na pustyni,  
Dumaj o twym przeznaczeniu.

CHÓR DUCHÓW NOCNYCH

W dzień Bóg nam dokucza, lecz w nocy wesele  
W noc późną próżniaki się tuczą  
I w nocy swobodniej śpiewają minstrele  
Szatany piosenek ich uczą.

Kto rana myśł świętą przyniesie z kościoła  
Kto rozmów pocziwych smak czuje  
Noc-pijawka wyciągnie pobożną myśł z czoła  
Noc-wąż w ustach smaki zatruje:

Śpiewajmy nad sennym, my, nocy synowie  
Usłużmy, aż będzie nam sługą.  
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie,  
Nasz będzie — ach, gdyby spał długo!

ANIOŁ

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie  
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

WIĘZIEŃ

(budzi się i myśli)  
Ty, co bliźnich katujesz, więzisz i wyrzynasz  
I uśmiechasz się we dnie, i w wieczór uczujesz,  
Czy ty z rana choć jeden sen twój przypominasz,  
A jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz?  
(drzemie)

ANIOŁ

Ty będziesz znowu wolny, my oznajmić przyszedli.

WIĘZIEŃ

(budzi się)

Będę wolny? — pamiętam, ktoś mi wczora prawił;  
Nie, skądże to, czy we śnie? czy Bóg mi objawił?  
(zasypia)

ANIOŁOWIE

Pilnujmy tylko, ach, pilnujmy myśli,  
Między myślami bitwa już stoczona.

DUCHY Z LEWEJ STRONY

Podwójmymy napaść.

DUCHY Z PRAWY

My podwójmymy strażę.  
Czy zła myśl wygra, czy dobra pokona,  
Jutro się w mowach i w dziełach pokaże;  
I jedna chwila tej bitwy wyrzeka  
Na całe życie o losach człowieka.

WIĘZIENI

Mam być wolny — tak! nie wiem, skąd przyszła nowina,  
Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicina.  
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,  
Ale wtłoczą na duszę — ja będę wygnany!  
Błąkać się w cudzoziemców, w nieprzyjaciół tłumie,  
Ja śpiewak, — i nikt z mojej pieśni nie zrozumie  
Nic — oprócz niekształtnego i marnego dźwięku.  
Łotry, tej jednej broni z rąk mi nie wydarły,  
Ale mi ją zepsuto, przełamano w rękę;  
Żywy, zostanę dla mej ojczyzny umarły,  
I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,  
Jako dyjament w brudnym zawarty kamieniu.

(wstaje i pisze węglem z jednej strony)

D. O. M.

GUSTAVUS

OBIIT M.D. CCC. XXIII

CALENDIS NOVEMBRIS

(z drugiej strony)

HIC NATUS EST

CONRADUS

M. D. CCC. XXIII

CALENDIS NOVEMBRIS

(wspiera się na oknie — usypia)

## DUCH

Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!  
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze,  
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,  
I tworzy deszcz rodzajny lub gromy i burze;  
Gdybyś wiedział, że ledwie jedną myśl rozniesz,  
Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,  
Tak czekają twej myśli — szatan i anioły;  
Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz;  
A ty jak obłok górny, ale błędny, pałasz  
I sam nie wiesz, gdzie lecisz, sam nie wiesz, co zdołasz.  
Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,  
Myślą i wiarą zwać i podzwigać trony.



# SCENA I

KORYTARZ — STRAŻ Z KARABINAMI STOI OPODAL — KILKU WIĘŹNIÓW MŁODYCH ZE ŚWIECAMI  
WYCHODZĄ Z CEL SWOICH — PÓŁNOC

JAKUB

Czy można? obaczmy się?

ADOLF

Straż gorzałkę pije:

Kapral nasz.

JAKUB

Która biła?

ADOLF

Północ niedaleko.

JAKUB

Ale jak nas runt złowi, kaprala zasieką.

ADOLF

Tylko zgaś świecę; — widzisz — ogień w okna bije.

(Gaszą świecę)

Runt dzieciństwo! runt musi do wrót długo pukać,

Dać hasło i odebrać, musi kluczków szukać: —

Potem — długi korytarz, — nim nas runt zacapi,

Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.

(Inni więźnie, wywołani z celi, wychodzą)

ŻEGOTA

Dobry wieczór.

KONRAD

I ty tu!

KS. LWOWICZ

I wy tu?

SOBOLEWSKI

I ja tu.

FREJEND

A wiecie co? Żegoto, idziem do twej celi,

Świeży więzień dziś wstąpił do nowicyjatu,  
I ma komin; tam dobry ogień będziem mieli,  
A przy tym nowość — dobrze widzieć nowe ściany.

SOBOLEWSKI

Żegoto! a, jak się masz; — i ty tu, kochany!

ŻEGOTA

U mnie cela trzy kroki; was taka gromada.

FREJEND

Wiecie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.  
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła;  
Nie słyhać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.  
Myślę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele;  
W mieście pomyslą, że to śpiewają w kościele.  
Jutro jest Narodzenie Boże. — Eh — koledzy,  
Mam i kilka butelek.

JAKUB

Bez kaprała wiedzy?

FREJEND

Kapral poczciwy, i sam z butelek skorzysta,  
Przy tym jest Polak, dawny nasz legijonista,  
Którego car przerobił gwałtem na Moskala.  
Kapral dobry katolik, i więźniom pozwala  
Przepędzić wieczór świętej Wigiliji razem.

JAKUB

Gdyby się dowiedzieli, nie uszłoby płazem.  
(Wchodzą do celi Konrada, nakładają ogień w kominie i zapalają świecę. — Cela Konrada jak w Prologu)

KS. LWOWICZ

I skądże się tu wzięłeś, Żegoto kochany?  
Kiedy?

ŻEGOTA

Dziś mię porwali z domu, ze stodoły.

KS. LWOWICZ

I ty byłeś gospodarz?

ŻEGOTA

Jaki! zawołany.  
Żebyś ty widział moje merynosy, woły!  
Ja, co pierwaj nie znałem, co owies, co słoma,  
Mam sławę najlepszego w Litwie ekonomia.

JAKUB  
Wzięto cię niespodzianie?

ŻEGOTA  
Od dawna słyszałem  
O jakimś w Wilnie śledztwie; dom mój blisko drogi.  
Widać było kibitki latające czwałem  
I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.  
Nieraz gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli  
I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem,  
Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,  
Myśląc, że już zajeżdża feldjeger ze dzwonkiem. \*  
Lecz nie wiedziałem, kogo szukają i za co,  
Nie należałem dotąd do żadnego spisku.  
Sądzę, że rząd to śledztwo wynalazł dla zysku,  
Że się więźniowie nasi porządnie opłacą  
I powrócą do domu.

TOMASZ  
Taką masz nadzieję?

ŻEGOTA  
Jużci przecież bez winy w Sybir nas nie wyślą;  
A jakąż winę naszą znajdą lub wymyślą?  
Milczycie, — wytłumaczcież, co się tutaj dzieje,  
O co nas oskarżono, jaki powód sprawy?

TOMASZ  
Powód — że Nowosilcow przybył tu z Warszawy.  
Znasz zapewne charakter pana Senatora.  
Wiesz, że już był w niełasce u imperatora,  
Że zysk dawniejszych łupiestw przepił i roztrwonił.  
Stracił u kupców kredyt i ostatkiem gonił.  
Bo pomimo największych starań i zabiegów  
Nie może w Polsce spisku żadnego wyśledzić;  
Więc postanowił świeży kraj, Litwę, nawiedzić,  
I tu przeniósł się z całym głównym sztabem szpiegów.  
Żeby zaś mógł bezkarnie po Litwie plądrować  
I na nowo się w łaskę samodzierzcy wkręcić,  
Musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować

I nowych wiele ofiar carowi poświęcić.

ŻEGOTA

Lecz my się uniewinnim —

TOMASZ

Bronić się daremnie —

I śledztwo, i sąd cały toczy się tajemnie;

Nikomu nie powiedzą, za co oskarżony,

Ten, co nas skarży, naszej ma słuchać obrony;

On gwałtem chce nas karać — nie unikniem kary,

Został nam jeszcze środek smutny — lecz jedyny:

Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary,

I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy.

Ja stałem na waszego towarzystwa czele,

Mam obowiązek cierpieć za was, przyjaciele;

Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci,

Z takich, co są sieroty, starsi, nieżonaci,

Których zguba niewiele serc w Litwie zakrwawi,

A młodszych, potrzebniejszych z rąk wroga wybawi.

ŻEGOTA

Więc aż do tego przyszło?

JAKUB

Patrz, jak się zasmucił.

Nie wiedział, że dom może na zawsze porzucił.

FREJEND

Nasz Jacek musiał żonę zostawić w połogu,

A nie płacze —

FELIKS KÓŁAKOWSKI

Ma płakać? owszem — chwala Bogu.

Jeśli powije syna, przyszłość mu wywieszczę —

Daj mi no rękę — jestem trochę chiromanta,

Wywróżę tobie przyszłość twojego infanta.

(patrząc na rękę)

Jeśli będzie pocziwy, pod moskiewskim rządem

Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem;

A kto wie, może wszystkich nas znajdzie tu jeszcze —

Lubię synów, to nasi przyszli towarzysze.

ŻEGOTA

Wy tu długo siedzicie?

FREJEND

Skądże datę wiedzieć?  
Kalendarza nie mamy, nikt listów nie pisze;  
To gorsza, że nie wiemy, póki mamy siedzieć.

SUZIN

Ja mam u okna parę drewnianych firanek  
I nie wiem nawet, kiedy mrok, a kiedy ranek.

FREJEND

Ale pytaj Tomasza, patryjarchę biedy;  
Największy szczupak, on też pierwszy wpadł do matni;  
On nas tu wszystkich przyjął i wyjdzie ostatni,  
Wie o wszystkich, kto przybył, skąd przybył i kiedy.

SUZIN

To pan Tomasz! ja poznać nie mogłem Tomasza.  
Daj mi rękę, znałeś mię krótko i niewiele:  
Wtenczas tak była droga wszystkim przyjaźń wasza,  
Otoczali was liczni, bliżsi przyjaciele;  
Nie dojrzałeś mię w tłumie, lecz ja ciebie znałem,  
Wiem, coś zrobił, coś cierpiał, żebyś nas ocalił; —  
Odtąd będę się z twojej znajomości chwalił,  
I w dzień zgonu przypomnę — z Tomaszem płakałem.

FREJEND

Ale dla Boga, po co te łzy, płacze, zgroza.  
Patrz — Tomasz, gdy był wolny, miał na swoim czole  
Wypisano wielkimi literami: "koza".  
Dziś w więzieniu jak w domu, jak w swoim żywiole.  
On był na świecie jako grzyby kryptogamy,  
Więdniał i schnął od słońca; — wsadzony do lochu,  
Kiedy my, słoneczniki, bledniejem, zdychamy,  
On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu.  
Ale też wziął pan Tomasz kuracją modną,  
Sławną teraz na świecie kuracją głodną.

ŻEGOTA

(do Tomasza)  
Głodem ciebie morzono?

FREJEND

Dodawano stawy;  
Ale gdybyś ją widział, — widok to ciekawy!

Dość było taką strawą w pokoju zakadzić,  
Ażeby myszy wytruć i świerszcze wygładzić.

ŻEGOTA

I jakże ty jeść mogłeś!

TOMASZ

Tydzień nic nie jadłem,  
Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem;  
Potem jak po truciźnie czułem bole, klucia,  
Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.  
Nie wiem, ile i jakim choroby przebywałem,  
Bo nie było doktora, co by je nazywał.  
Wreszcie jam wstał, jadł znowu i do sił przychodził,  
I zdaje mi się, że się do tej strawy zrodziłem.

FREJEND

(z wymuszoną wesołością)  
Wierzcie mi, tam za kozą same urojenia;  
Kto tu był, sekret kuchni i mieszkań przeniknął:  
Jeść, mieszkać, źle czy dobrze — skutek przywyknienia.  
Pytał raz Litwin, nie wiem, diabła czy Pińczuka\*:  
"Dlaczego siedzisz w błocie?" — "Siedzę, bom przywyknąłem"

JAKUB

Ależ przywyknąć, bracie!

FREJEND

Na tym cała sztuka.

JAKUB

Ja tu siedzę podobno od ośmiu miesięcy,  
A tak tęsknię jak pierwej, nie mniej —

FREJEND

I nie więcej?  
Pan Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy  
Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy.  
On odwyknął oddychać, nie wychodzi z celi —  
Jeśli go stąd wypędzą, koza się opląci:  
Bo on potem ni grosza na wino nie straci,  
Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli\*.

TOMASZ

Wolałbym być pod ziemią, w głodzie i chorobie,

Znosić kije i gorsze niżli kije — śledztwo,  
Niż tu, w lepszym więzieniu, mieć was za sąsiedztwo. —  
Łotry! wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie.

FREJEND

Jak to? więc płaczesz po nas? — masz kogo żałować.  
Czy nie mnie? pytam, jaka korzyść z mego życia?  
Jeszcze w wojnie — mam jakiś talencik do bicia,  
I mógłbym kilku dońcom grzbiety naszpikować.  
Ale w pokoju — cóż stąd, że lat sto przeżyję  
I będę kłął Moskalów, i umrę — i zgniję.  
Na wolności wiek cały byłbym mizerakiem,  
Jak proch, albo jak wino miernego gatunku; —  
Dziś, gdy wino zatknięto, proch przybito kłakiem,  
W kozie mam całą wartość butli i ładunku.  
Wytchnąłbym się jak wino z otwartej konewki;  
Spaliłbym jak proch lekko z otwartej panewki.  
Lecz jeśli mię w łańcuchach stąd na Sybir wyślą,  
Obaczą mię Litwini bracia i pomyślą:  
Wszakci to krew szlachecka, to młódź nasza ginie,  
Poczekaj, zbójco caru, czekaj, Moskwicinie! —  
Taki jak ja, Tomaszu, dałby się powiesić,  
Żebyś ty jedną chwilę żył na świecie dłużej:  
Taki jak ja — ojczyźnie tylko śmiercią służy;  
Umarłbym dziesięć razy, byle cię raz wskrzesić,  
Ciebie, lub ponurego poetę Konrada,  
Który nam o przyszłości, jak Cygan, powiada. —  
(do Konrada)

Wierzę, bo Tomasz mówił, żeś ty śpiewak wielki,  
Kocham cię, boś podobny także do butelki:  
Rozlewasz pieśń, uczuciem, zapałem oddychasz,  
Pijem, czuję, a ciebie ubywa — usychasz.  
(bierze za rękę Konrada i łyży sobie ociera)  
(do Tomasza i Konrada)

Wy wiecie, że was kocham, ale można kochać,  
Nie płakać. Otoż, bracia, osuszcie łyży wasze; —  
Bo jak się raz rozczulę i jak zacznę szlochać,  
I herbaty nie zrobię, i ogień zagaszę.  
(robi herbatę)

(Chwila milczenia)

KS. LWOWICZ

Prawda, źle przyjmujemy nowego przybysza?  
(pokazując Żegotę)

W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin \* —  
Czy nie dosyć w dzień milczym! — he? — jak długa cisza.

JAKUB

Czy nie ma nowin z miasta?

WSZYSCY

Nowin?

KS. LWOWICZ

Żadnych nowin?

ADOLF

Jan dziś chodził na śledztwo, był godzinę w mieście,  
Ale milczy i smutny; — i jak widać z miny,  
Nie ma ochoty gadać.

KILKU Z WIĘŹNIÓW

No, Janie! Nowiny?

JAN SOBOLEWSKI

(ponuro)

Niedobre — dziś — na Sybir — kibitek dwadzieście  
Wywieźli.

ŻEGOTA

Kogo? — naszych?

JAN

Studentów ze Żmudzi.

WSZYSCY

Na Sybir?

JAN

I paradnie! — było mnóstwo ludzi.

KILKU

Wywieźli!

JAN

Sam widziałem.

JACEK

Widziałeś! — i mego



Brata wywieźli? — wszystkich?

JAN

Wszystkich, — do jednego.

Sam widziałem, — Wracając, prosiłem kaprała  
Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem z dala,  
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele  
Właśnie msza była; — ludu zebrało się wiele.  
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,  
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,  
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem  
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.  
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;  
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,  
Wojsko z bronią, z bębniami stało we dwa rzędy;  
W pośrodku nich kibitki. — Patrzę, z placu sady  
Policmejster na koniu; — z miny zgadłbyś łatwo,  
Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi:  
Tryumf Cara północy, zwycięzcy — nad dziatwą. —  
Wkrótce znak dano bębniem i ratusz otwarty —  
Widziałem ich: — za każdym z bagnetem szły warty,  
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci  
Z golonymi głowami; — na nogach okuci.  
Biedne chłopcy! — najmłodszy, dziesięć lat, nieboże,  
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może;  
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.  
Policmejster przejeżdża, pyta, czego żądał?  
Policmejster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:  
"Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną wagą". —  
Wywiedli Janczewskiego; — poznałem, oszpetniał,  
Szczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.  
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk mały,  
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały  
Ów Cesarz! — okiem dumnym, suchym i pogodnym;  
To zdawał się pocieszać spółników niewoli,  
To lud żegnał uśmiechem, gorzkim, lecz łagodnym,  
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię boli.  
Wtem zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,  
I nie widząc, że kaprał za suknią mię trzyma,  
Myślił, że uwolniony; — dłoń swą ucałował,  
I skinął ku mnie, jakby żegnał i wieszował; —  
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,  
A kaprał ciągnął gwałtem, ażeby mię schował;  
Nie chciałem, tyłkom staną bliżej przy kolumnie.  
Uważałem na więźnia postawę i ruchy: —

On postrzegł, że lud płacze patrząc na łańcuchy,  
Wstrząsł nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężył.  
A wtem zacięto konia, — kibitka runęła —  
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,  
I trzykroć krzyknął: "Jeszcze Polska nie zginęła". —  
Wpadli w tłum; — ale długo ta ręka ku niebu,  
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,  
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydną,  
Głowa niezawstydzona, dumna, z dala widna,  
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza  
I wystaje z czarnego tyłu głów natłoku,  
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszczą,  
Ta ręka i ta głowa zostały mi woku,  
I zostaną w mej myśli, — i w drodze żywota  
Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota:  
Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,  
Zapomnij o mnie. —

KS. LWOWICZ

Amen za was.

KAŻDY Z WIĘŹNIÓW

I za siebie.

JAN SOBOLEWSKI

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim  
Kibitki? — ich wsadzano jednego po drugim.  
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,  
Po wojsku, — wszystkie twarze poblady jak trupie?  
A w takim tłumie taka była cichość głucha,  
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.  
Dziwna rzecz! wszyscy czuli, jak nieludzka kara:  
Lud, wojsko czuje, — milczy, — tak boją się cara.  
Wywiedli ostatniego; — zdało się, że wzbraniał,  
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się staniał,  
Z wolna schodził ze schodów i ledwie na drugi  
Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi;  
To Wasilewski, siedział tu w naszym sąsiedztwie;  
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,  
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.  
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,  
Niósł w kibitkę na rękę, ale ręką drugą  
Tajemnie łzy ocierał; — niósł powoli, długo; ,  
Wasilewski nie zemdłał, niezwisnął, nie ciężał,  
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał.

Niesiony, jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte  
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;  
Oczy straszne, zbielejące, szeroko rozwarte; —  
I lud oczy i usta otworzył; — i razem  
Jedno westchnienie z piersi tysiąca wydarte,  
Głębokie i podziemne jęknięto dokoła,  
Jak gdyby jętkły wszystkie groby spod kościoła.  
Komenda je zgłuszyła bębniem i rozkazem:  
"Do broni — marsz" — ruszono, a środkiem ulicy  
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.  
Jedna pusta; — był więzień, ale niewidomy;  
Rękę tylko do ludu wyciągnął spod słomy,  
Siną, rozwartą, trupią; trząśł nią, jakby żegnał;  
Kibitka w tłum wjechała; — nim bicz tłumy przegnał,  
Stanęli przed kościołem; i właśnie w tej chwili  
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.  
Spojrzałem w kościół pusty i rękę kapłańską  
Widziałem, podnoszącą ciało i krew Pańską,  
I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata  
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,  
Przyjm tę spod sądów cara ofiarę dziecinną,  
Nie tak świętą ni wielką, lecz równie niewinną.

(Długie milczenie)

JÓZEF

Czytałem ja o wojnach; — w dawnych, dzikich czasach,  
Piszą, że tak okropne wojny prowadzono,  
Że nieprzyjaciel drzewom nie przepuszczał w lasach  
I że z drzewami na pniu zasiewy palono.  
Ale car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi,  
On nawet ziarna zboża zabiera i dławi;  
Sam szatan mu metodę zniszczenia tłumaczy.

KÓŁAKOWSKI

I uczniowi najlepszą nagrodę wyznaczę.  
(Chwila milczenia)

KS. LWOWICZ

Bracia, kto wie, ów więzień może jeszcze żyje;  
Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.  
Ja, jak ksiądz, pomodłę się, i wam radzę szczerze  
Zmówić za męczennika spoczynek pacierze. —  
Kto wie, jaka nas wszystkich czeka jutro doła.

ADOLF

Zmówże i po Ksawerym pacierz, jeśli wola;  
Wiesz, że on, nim go wzięli, w łeb sobie wystrzelił.

FREJEND

Łebski! — To z nami uczty wesołe on dzielił,  
Jak przyszło dzielić biedę, on w nogi ze świata.

KS. LWOWICZ

Nieźle by i za tego pomodlić się brata.

JANKOWSKI

Wiesz, Księżę: dalibógże, drwię ja z twojej wiary:  
Coż stąd, choćbym był gorszym niż Turki, Tatary,  
Choćbym został złodziejem, szpiegiem, rozbójnikiem,  
Austryjakiem, Prusakiem, carskim urzędnikiem;  
Jeszcze tak prędko Bożej nie lękam się kary; —  
Wasilewski zabity, my tu — a są cary.

FREJEND

Toż chciałem mówić, dobrze, żeś ty za mnie zgrzeszył;  
Ale pozwól odetchnąć, bom całkiem osłupiał.  
Słuchając tych powieści — człek spłakał się, zgłupiał.  
Ej, Feliksie, żebyś ty nas trochę pocieszył!  
Ty, jeśli zechcesz, w piekle diabła byś rozśmieszył.

KILKU WIĘŹNIÓW

Zgoda, zgoda, Feliksie, musisz gadać, śpiewać,  
Feliks ma głos, hej, Frejend, hej, wina nalewać.

ŻEGOTA

Stójcie na chwilę — ja też szlachcic sejmikowy,  
Choć ostatni przybyłem, nie chcę cicho siedzieć;  
Józef nam coś o ziarnkach mówił, — na te mowy  
Gospodarz winien z miejsca swego odpowiedzieć.  
Lubo car wszystkie ziarna naszego ogrodu  
Chce zabrać i zakopać w ziemię w swoim carstwie,  
Będzie drożyzna, ale nie bójcie się głodu;  
Pan Antoni już pisał o tym gospodarstwie.

JEDEN Z WIĘŹNIÓW

Jaki Antoni?

ŻEGOTA

Znacie bajkę Goreckiego?

A raczej prawdę?

KILKU

Jaką? Powiedz nam, kolego.

ŻEGOTA

Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,  
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;  
I rozkazał aniołom zboże przysposobić  
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.  
Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał z daleka  
I odszedł; bo nie wiedział, co ze zbożem robić.  
Aż w nocy przyszedł diabeł mądry i tak rzecze:  
"Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,  
Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;  
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze".  
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,  
Napłwał i ziemią nakrył, i przybił kopytem; —  
Dumny i rad, że Boże zamiary przeniknął,  
Całym gardłem rozśmiał się i ryknął, i zniknął.  
Aż tu wiosną, na wielkie diabła zadziwienie,  
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosa i nasienie.  
O wy! co tylko na świat idziecie z północą,  
Chytrność rozumem, a złość nazywacie mocą?  
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,  
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.

JAKUB

Brawo Antoni! pewnie Warszawę nawiedzi  
I za tę bajkę znowu z rok w kozie posiedzi.

FREJEND

Dobre to — lecz ja znowu do Feliksa wracam.  
Wasze bajki — i co mi to za poezyje,  
Gdzie muszę głowę trudnić, niżli sens namacam;  
Nasz Feliks z piosenkami niech żyje i pije!  
(nalewa mu wino)

JANKOWSKI

A Lwowicz co? — on pacierz po umarłych mówi!  
Posłuchajcie, zaśpiewam piosnkę Lwowiczowi.  
(śpiewa)  
Mówcie, jeśli wola czyja,  
Jezus Maryja.  
Nim uwierzę, że nam sprzyja

Jezus Maryja:  
Niech wprzód łotrów powybijają  
Jezus Maryja.

Tam car jak dzika bestyja,  
Jezus Maryja!  
Tu Nowosilcow jak żmija,  
Jezus Maryja!

Póki cała carska szyja,  
Jezus Maryja,  
Póki Nowosilcow pija,  
Jezus Maryja,  
Nie uwierzę, że nam sprzyja  
Jezus Maryja.

KONRAD

Słuchaj, ty! — tych mnie imion przy kielichach wara.  
Dawno nie wiem, gdzie moja podziła się wiara,  
Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanii.  
Lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi.

KAPRAL

(podchodząc do Konrada)

Dobrze, że Panu jedno to zostało imię —  
Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci z kalety,  
Nie zgrał się, póki jedną ma sztukę monety.  
Znajdzie ją w dzień szczęśliwy, więc z kalety wyjmie,  
Więc da w handel na procent, Bóg pobłogosławi,  
I większy skarb przed śmiercią, niżli miał, zostawi.  
To imię, Panie, nie żart — więc mnie się zdarzyło  
W Hiszpanii, lat temu — o, to dawno było,  
Nim car mię tym oszpecił mundurem szelmowskim —  
Więc byłem w legijonach, naprzód pod Dąbrowskim,  
A potem wszedłem w sławny pułk Sobolewskiego.

SOBOLEWSKI

To mój brat!

KAPRAL

O mój Boże! pokój duszy jego!  
Walny żołnierz — tak — zginął od pięciu kul razem;  
Nawet podobny Panu. — Otóż — więc z rozkazem  
Brata Pana jechałem w miasteczko Lamego —  
Jak dziś pamiętam — więc tam byli Francuziska:

Ten gra w kości, ten w karty, ten dziewczęta ściska —  
Nuż beczęć; — każdy Francuz, jak podpije, beczy.  
Jak zaczną tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,  
Siwobrode wężale takie pieśni tłuste!  
Aż był wstyd mnie młodemu. — Z rozpusty w rozpustę,  
Dalej bredzić na świętych; — otóż z większych w większe  
Grzechy laząc, nuż bluźnić na Pannę Najświętszą —  
A trzeba wiedzieć, że mam patent sodalisa  
I z powinności bronię Maryi imienia —  
Więc ja im persadować: — Stulcie pysk, do bisa!  
Więc umilkli, nie chcąc mieć ze mną do czynienia. —  
(Konrad zamyśla się, inni zaczynają rozmowę)  
Ale no Pan posłuchaj, co się stąd wyświeci.  
Po zwadzie poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci —  
Aż w nocy trąbią na koń — zaczną obóz trwożyć —  
Francuzi nuż da czapek, i nie mogą włożyć: —  
Bo nie było na co wdziąć, — bo każdego główka  
Była ślicznie odcięta nożem jak makówka.  
Szelma gospodarz porznął jak kury w folwarku;  
Patrzę, więc moja głowa została na karku?  
W czapce kartka łacińska, pismo nie wiem czyje:  
"Vivat Polonus, unus defensor Mariae".  
Otoż widzisz Pan, że ja tym imieniem żyję.

#### JEDEN Z WIĘŹNIÓW

Feliksie, musisz śpiewać; nalać mu herbaty  
Czy wina. —

#### FELIKS

Jednogłośnie decydują braty,  
Że muszę być wesoły. Chociaż serce pęka"  
Feliks będzie wesoły i będzie piosenka.  
(śpiewa)

Nie dbam, jaka spadnie kara,  
Mina, Sybir czy kajdany.  
Zawsze ja wierny poddany  
Pracować będę dla cara.

W minach kruszec kując młotem,  
Pomyślę: ta mina szara  
To żelazo, — z niego potem  
Zrobi ktoś topór na cara.

Gdy będę na zaludnieniu,

Pojmę córeczkę Tatara;  
Może w moim pokoleniu  
Zrodzi się Palen dla cara.

Gdy w kolonijach osiedę,  
Ogród zorzę, grzędę skopię,  
A na nich co rok siał będę  
Same lny, same konopie.

Z konopi ktoś zrobi nici —  
Srebrem obwita nić szara.  
Może się kiedyś poszczyci,  
Że będzie szarfą dla cara.

#### CHÓR

(śpiewa)

Zrodzi się Palen dla cara  
ra — ra — ra — ra — ra — ra —

#### SUZIN

Lecz cóż to Konrad cicho zasepiony siedzi,  
Jakby obliczał swoje grzechy do spowiedzi?  
Feliksie, on nie słyszał zgoła twoich pieni;  
Konradzie! — patrzcie — zbladnął, znowu się czerwieni.  
Czy on słaby?

#### FELIKS

Stój, cicho — zgadłem, że tak będzie —  
O, my znamy Konrada, co to znaczy, wiemy.  
Północ jego godzina. — Teraz Feliks niemy,  
Teraz, bracia, piosenkę lepszą posłyszemy.  
Ale muzyki trzeba; — ty masz flet, Frejendzie,  
Graj dawną jego nutę, a my cicho stójmy  
I kiedy trzeba, głosy do chóru nastrójmy.

#### JÓZEF

(patrząc na Konrada)

Bracia! duch jego uszedł i błądzi daleko:  
Jeszcze nie wrócił — może przyszłość w gwiazdach czyta,  
Może się tam z duchami znajomymi wita,  
I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką.  
Jak dziwne oczy — błyszczą ogień pod powieką,  
A oko nic nie mówi i o nic nie pyta;  
Duszy teraz w nich nie ma; błyszczą jak ogniska  
Zostawione od wojska, które w nocy cieniu



Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu —  
Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska.  
(Frejend próbuje różnych nut)

KONRAD

(śpiewa)

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna, —  
Krew poczuła — spod ziemi wygląda —  
I jak upiór powstaje krwi głodna:  
I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.  
Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga,  
Z Bogiem i choćby mimo Boga!

(Chór powtarza)

I Pieśń mówi: ja pójdę wieczorem,  
Naprzód braci rodaków gryźć muszę,  
Komu tylko zapuszczę kły w duszę,  
Ten jak ja musi zostać upiorem.  
Tak? zemsta, zemsta, etc, etc,

Potem pójdziem, krew wroga wypijem,  
Ciało jego rozrąbiem toporem:  
Ręce, nogi goździami przybijem,  
By nie powstał i nie był upiorem.  
Z duszą jego do piekła iść musim,  
Wszyscy razem na duszy usiędziem,  
Póki z niej nieśmiertelność wydusim,  
Póki ona czuć będzie, gryźć będziem.  
Tak! zemsta, zemsta, etc. etc.

KS. LWOWICZ

Konradzie, stój, dla Boga, to jest pieśń pogańska.

KAPRAL

Jak on okropnie patrzy,— to jest pieśń szatańska.  
(przestają śpiewać)

KONRAD

(z towarzyszeniem fletu)

Wznoszę się! lecę! tam, na szczyt opoki —  
Już nad plemieniem człowiczem,  
Między proroki.  
Stąd ja przyszłości brudne obłoki  
Rozcinam moją źrenicą jak mieczem;  
Rękami jak wichrami mgły jej rozdieram —

Już widno — jasno — z góry na ludy spozieram —  
Tam księga sybilińska przyszłych losów świata —  
Tam, na dole!

Patrz, patrz, przyszłe wypadki i następne lata,  
Jak drobne ptaki, gdy orła postrzegą,  
Mnie, orła na niebie!  
Patrz, jak do ziemi przypadają, biegają,  
Jak się stado w piasek grzebie —  
Za nimi, hej, za nimi oczy me sokole,  
Oczy błyskawice,  
Za nimi szpony moje! — dostrzegę je, schwycę.

Cóż to? jaki ptak powstał i roztacza pióra,  
Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa;  
Skrzydła ma czarne jak burzliwa chmura,  
A szerokie i długie na kształt tęczy łuku.  
I niebo całe zakrywa —

To kruk olbrzymi — ktoś ty? —— ktoś ty, kruku?  
Ktoś ty? — jam orzeł! — patrzy kruk — myśl moję płacze!  
Ktoś ty? — jam gromowłady!! —  
Spojrzał na mnie — w oczy mię jak dymem uderzył,  
Myśli moje miesza — płacze —

#### KILKU WIĘŹNIÓW

Co on mówi! — co — co to — patrz, patrz, jaki blady.  
(porywają Konrada)  
Uspokój się...

#### KONRAD

Stój! stójcie! — jam się z krukiem zmierzył —  
Stójcie — myśli rozplączę —  
Pieśń skończę — skończę —  
(słania się)

#### KS. LWOWICZ

Dosyć tych pieśni.

#### INNI

Dosyć.

#### KAPRAL

Dosyć — Pan Bóg z nami —  
Dzwonek! — słyszycie dzwonek? — runt, runt pod bramami!  
Gaście ogień — do siebie!

JEDEN Z WIĘŹNIÓW

(patrzac w okno)

Bramę odemknęli —

Konrad osłabł — zostawcie — sam, sam jeden w celi!

(Uciekają wszyscy)

## SCENA II

### IMPROWIZACJA

KONRAD

(po długim milczeniu)

Samotność — cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?  
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,  
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?  
Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi:  
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;  
Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,  
A słowa myśl pochłoną i tak drżą nad myślą,  
Jak ziemia nad połkniętą, niewidzialną rzeką.  
Z drżenia ziemi czyż ludzie głębi nurtów dociek,  
Gdzie pędzi, czy się domyślą? —

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,  
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;  
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,  
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach,

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!  
I wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,  
Choć szklanne weźmie skrzydła, ciebie nie dolata,  
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy;  
Domyśla się, że to słońca,  
Lecz ich nie zliczy, nie zmierzy.

Wam, pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne; —  
Płyńcie w duszy mej wnętrzościach,  
Świećcie na jej wysokościach,  
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże, ty naturo! dajcie posłuchanie. —  
Godna to was muzyka i godne śpiewanie. —  
Ja mistrz!  
Ja mistrz wyciągam dłonie!  
Wyciągam aż w niebiosy i kładę me dłonie  
Na gwiazdach jak na szklanych harmoniki kregach.  
To nagłym, to wolnym ruchem,  
Kręcę gwiazdy moim duchem.  
Milion tonów płynie; w tonów miliony  
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;

Zgadzam je, dzielę i łączę,  
I w tęczę, i w akordy, i we strofy płaczę,  
Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach. —

Odjąłem ręce, wzniosłem nad świata krawędzie,  
I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.  
Sam śpiewam, słyszę me śpiewy —  
Długie, przeciągłe jak wichru powiewy,  
Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,  
Jęczą żalem, ryczą burzą,  
I wieki im głucho wtórzają;  
A każdy dźwięk ten razem gra i płonie,  
Mam go w uchu, mam go w oku,  
Jak wiatr, gdy fale kołysze,  
Po świstach lot jego słyszę,  
Widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie!  
Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie.  
Taka pieśń jest siła, dzielność,  
Taka pieśń jest nieśmiertelność!  
Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,  
Cóż Ty większego mogłeś zrobić — Boże?  
Patrz, jak te myśli dobywam sam z siebie,  
Wcielam w słowa, one lecą,  
Rozsypują się po niebie,  
Toczą się, grają i świecą;  
Już dalekie, czuję jeszcze,  
Ich wdziękami się lubuję,  
Ich okrągłość dłonią czuję,  
Ich ruch myślą odgaduję:  
Kocham was, me dzieci wieszczę!  
Myśli moje! gwiazdy moje!  
Czucia moje! wichry moje!  
W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,  
Wy wszystkie moje!

Depcę was, wszyscy poeci,  
Wszyscy mędrce i proroki,  
Których wielbił świat szeroki.  
Gdyby chodzili dotąd wśród swych dusznych dzieci,  
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski  
Słyszeli, czuli i za słuszne znali,  
I wszystkie sławy każdodzienniej blaski  
Promieniami na wieńcach swoich zapalali,

Z całą pochwałą muzyką i wieńców ozdobą,  
Zebraną z wieków tyła i z pokoleń tyła,  
Nie czuliby własnego szczęścia, własnej mocy,  
Jak ja dziś czuję w tej samotnej nocy:  
Kiedy sam śpiewam w sobie,  
Śpiewam samemu sobie.  
Tak! — czuły jestem, silny jestem i rozumny. —  
Nigdy nie czułem, jak w tej chwili —  
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,  
Dziś poznam, czym najwyższy, czyli tylko dumny;  
Dziś jest chwila przeznaczona,  
Dziś najsilniej wyteżę duszy mej ramiona —  
To jest chwila Samsona,  
Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny.  
Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —  
Potrzeba mi lotu,  
Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,  
Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórca i natura.

I mam je, mam je, mam — tych skrzydeł dwoje;  
Wystarczą:— od zachodu na wschód je rozszerzę,  
Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę.  
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!  
I zajrzę w uczucia Twoje,  
O Ty! o którym mówią, że czujesz na niebie.  
Jam tu, jam przybył, widzisz, jaka ma potęga,  
Aż tu moje skrzydło sięga.  
Lecz jestem człowiek, i tam, na ziemi me ciało;  
Kochałem tam, w ojczyźnie, serce me zostało, —

Ale ta miłość moja na świecie,  
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku  
Jak owad na róży kwiecie:  
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.  
Ja kocham cały naród! — objąłem w ramiona  
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,  
Przycisnąłem tu do łona,  
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec:  
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,  
Chcę nim cały świat zadziwić,  
Nie mam sposobu i tu przyszedłem go dociec.  
Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,  
Tej myśli, co niebiosom Twe gromy wydarła,  
Śledziła chód Twych planet, głęb morza rozwarła —  
Mam więcej, tę Moc, której ludzie nie nadadzą,

Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa  
Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa.

I Mocy tej nie wziętem z drzewa edeńskiego,  
Z owocu wiadomości złego i dobrego;  
Nie z ksiąg ani z opowiadań,  
Ani z rozwiązania zadań,  
Ani z czarodziejskich badań.  
Jam się twórcą urodził:  
Stamtąd przysły siły moje,  
Skąd do Ciebie przysły Twoje,  
Boś i Ty po nie nie chodził:  
Masz, nie boisz się stracić; i ja się nie boję.  
Czyś Ty mi dał, czy wziętem, skąd i Ty masz — oko  
Bystre, potężne: w chwilach mej siły — wysoko  
Kiedy na chmur spójrzę szlaki  
I wędrownie słyszę ptaki,  
Żeglujące na ledwie dostrzeżonym skrzydle;  
Zechcę i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle —  
Stado pieśń żałosną dzwoni,  
Lecz póki ich nie puszczę, Twój wiatr ich niezgoni.  
Kiedy spójrzę w kometę z całą mocą duszy,  
Dopóki na nią patrzę, z miejsca się nie ruszy.  
Tylko ludzie skazitelni,  
Marni, ale nieśmiertelni,  
Nie służą mi, nie znają — nie znają nas obu,  
Mnie i Ciebie.  
Ja na nich szukam sposobu  
Tu, w niebie.  
Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,  
Chcę wyrzucić na ludzkie dusze,  
Jak ptaki i jak gwiazdy rządę mym skinieniem,  
Tak bliźnich rozrządzać muszę.  
Nie bronią — broń broń odbije,  
Nie pieśniami — długo rosną,  
Nie nauką — prędko gnije,  
Nie cudami — to zbyt głośno.  
Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie;  
Rządzić jak Ty wszystkimi zawsze i tajemnie:  
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,  
Spełnią, tym się uszczęśliwią,  
A jeżeli się sprzeciwią,  
Niechaj cierpią i przepadną.  
Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,  
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa; —

Mówią, że Ty tak władasz!  
Wiesz, zem myśli nie popsuł, mowy nie umorzył;  
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,  
Ja bym mój naród jak pieśń żywą stworzył,  
I większe niżli Ty zrobiłbym dziwo,  
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!

Daj mi rząd dusz! — Tak gardzę tą martwą budową,  
Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,  
Zem nie próbował dotąd, czyli moje słowo  
Nie mogłoby jej wnet zwalić.  
Lecz czuję w sobie, że gdybym mą wolę  
Ścisnął, natężył i razem wyświecił,  
Może bym sto gwiazd zgasił, a drugie sto wzniecił —  
Bo jestem nieśmiertelny! i w stworzenia kole  
Są inni nieśmiertelni; — wyższych nie spotkałem. —  
Najwyższy na niebiosach! — Ciebie tu szukałem,  
Ja najwyższy z czujących na ziemnym padole.  
Nie spotkałem Cię dotąd — żeś Ty jest, zgaduję;  
Niech Cię spotkam i niechaj Twą wyższość uczuję —  
Ja chcę władzy, daj mi ją, lub wskaż do niej drogę!  
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem,  
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę,  
Ja chcę mieć władzę, jaką Ty posiadasz,  
Ja chcę duszami władać, jak Ty nimi władasz.

(Długie milczenie)

(z ironią)

Milczysz, milczysz! wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,  
Zrozumiałem, coś Ty jest i jakieś Ty władał. —  
Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością,  
Ty jesteś tylko mądrością.  
Ludzie myślą, nie sercem, Twych dróg się dowiedzą;  
Myślą, nie sercem, składy broni Twej wysledzą —  
Ten tylko, kto się wrył w księgi,  
W metal, w liczbę, w trupie ciało,  
Temu się tylko udało  
Przywłaszczyć część Twej potęgi.  
Znajdzie truciznę, proch, parę,  
Znajdzie blaski, dymy, huki,  
Znajdzie prawność, i złą wiarę  
Na mędrki i na nieuki.  
Myślom oddałeś świata użycie,  
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie,  
Dałeś mnie najkrótsze życie



I najmocniejsze uczucie. —

(Milczenie)

Czym jest me czucie?

Ach, iskrą tylko!

Czym jest me życie?

Ach, jedną chwilką!

Lecz te, co jutro rykną, czym są dzisiaj gromy?

Iskrą tylko.

Czym jest wieków ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?

Jedną chwilką.

Z czego wychodzi cały człowiek, mały świątek?

Z iskry tylko.

Czym jest śmierć, co rozprószy myśli mych dostatek?

Jedną chwilką.

Czym był On, póki światy trzymał w swoim łonie?

Iskrą tylko.

Czym będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?

Jedną chwilką.

Głos z lewej strony

Wsiąść muszę

Na duszę

Jak na koń,

Goń! goń

W cwał, w cwał!

Głos z prawej

Co za szal!

Brońmy go, brońmy,

Skrzydłami osłońmy

Skroń

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rozpala —

Stwarza i zwala.

Śmiało, śmiało! tę chwilę rozdlużmy, rozdalmy,

Śmiało, śmiało! tę iskrę rozniećmy, rozpalmy —

Teraz — dobrze — tak. Jeszcze raz Ciebie wyzywam,

Jeszcze po przyjacielsku duszę Ci odkrywam.

Milczysz, — wszakżeś z Szatanem walczył osobiście?

Wyzywam Cię uroczyście.

Nie gardź mną, ja nie jeden, choć sam tu wzniesiony.

Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,

Mam ja za sobą wojska, i mocy, i trony;  
Jeśli ja będę bluźnierca,  
Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niżli Szatan:  
On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca.  
Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem;  
Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,  
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,  
Przeciw Niebu ich nie wzniosłem.

Głos  
Rumaka  
Przedzierzgnę w ptaka.  
Orlimi pióry  
Do góry!  
W lot!

Głos  
Gwiazdo spadająca!  
Jaki szął  
W otchłań cię strąca

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony?  
Ciałem połknąłem jej duszę,  
Ja i ojczyzna to jedno.  
Nazywam się Milijon — bo za milijony  
Kocham i cierpię katusze.  
Patrzę na ojczyznę biedną,  
Jak syn na ojca wplecionego w koło;  
Czuję całego cierpienia narodu,  
Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.  
Cierpię, szaleję — a Ty mądrze i wesoło  
Zawsze rządysz,  
Zawsze sądzisz,  
I mówią, że Ty nie błędzisz!  
Słuchaj, jeśli to prawda, com z wiarą synowską  
Słyszał, na ten świat przychodząc,  
Że Ty kochasz; — jeżeliś Ty kochał świat rodząc,  
Jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską; —  
Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt,  
Któreś Ty w arce zamknął i wyrwał z powodzi;  
Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi  
Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi;  
Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd,  
Jeśli w milijon ludzi krzyczących "ratunku!"

Nie patrzysz jak w zawiłe zrównanie rachunku; —  
Jeśli miłość jest na co w świecie Twym potrzebną  
I nie jest tylko Twoją omyłką liczebną...

Głos

Orła w hydrę!  
Oczy mu wydrę.  
Do szturmu dalej!  
Dymi! pali!  
Ryk, grzmot!

Głos

Z jasnego słońca  
Kometo błędu!  
Gdzie koniec twego pędu?  
Bez końca, bez końca!

Milczysz! — Jam Ci do głębi serce me otworzył  
Zaklinam, daj mi władzę — jedna część jej licha,  
Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha,  
Z tą jedną cząstką ileż ja bym szczęścia stworzył!  
Milczysz! — nie dasz dla serca, dajże dla rozumu. —  
Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,  
Że Cię znam lepiej niżli Twoje archanioły,  
Wart, żebyś ze mną władzą dzielił się na poły —  
Jeślim nie zgadł, odpowiedz — milczysz! ja nie kłamię.  
Milczysz i ufasz, że masz silne ramię —  
Wiedz, że uczucie spali, czego myśl nie złamię —  
Widzisz to moje ognisko: — uczucie,  
Zbieram je, ściskam, by mocniej pałało,  
Wbijam w żelazne woli mej okucie,  
Jak nabój w burzące działo.

Głos

Ognia! pal!

Głos

Litość! żal!

Odezwiij się, — bo strzelę przeciw Twej naturze;  
Jeśli jej w gruzy nie zburzę,

To wstrząsnę całym państw Twoich obszarem;  
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia:  
Ten głos, który z pokoleń pójdzie w pokolenia:  
Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale...

GŁOS DIABŁA

Carem!

(Konrad staje chwilę, słania się i pada)

DUCHY Z LEWEJ STRONY

PIERWSZY

Depc, chwytaj!

DRUGI

Jeszcze dysze.

PIERWSZY

Omdlał, omdlał, a nim

Przebudzi się, dodusim.

DUCH Z PRAWEJ STRONY

Precz — modlą się za nim.

DUCH Z LEWEJ

Widzisz, odpędzają nas.

PIERWSZY Z LEWEJ

Ty bestyjo głupial

Nie pomogłeś mu słowo ostatnie wyrzygnąć,

Jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć!

Chwila dumy — ta czaszka już byłaby trupia.

Być tak blisko tej czaszki i nie można deptać!

Widzieć krew w jego ustach, i nie można chłęptać!

Najgłupszy z diabłów, tyś go wypuścił w pól drogi.

DRUGI

Wróci się, wróci

PIERWSZY

Precz stąd — bo wezmę na rogi

I będę cię lat tysiąc niósł, i w paszczę samą

Szatana wbiję.

DRUGI

Cha! cha! straszysz, ciociu! mamó!  
Ja dziecko będę płakać —  
(płacze)  
masz —  
(uderza rogiem)  
A co, nie chybił?  
Leć i nie wyłaż z piekła — aha, do dna przybił —  
Rogi me, brawo, rogi —

PIERWSZY  
Sacrédiu!

DRUGI  
(uderza)  
Masz.

PIERWSZY  
W nogi.  
(Słysząc stukanie i klucz we drzwiach)

DRUGI DUCH  
Pop, klecha, przyczajmy się i schowajmy rogi.

## SCENA III

WCHODZĄ KAPRAL, BRACISZEK BERNARDYN PIOTR, JEDEN WIĘZIEŃ

KS. PIOTR

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha.

WIĘZIEŃ

On zapewne osłabiał. — Konradzie! — nie słucha.

KS. PIOTR

Pokój temu domowi, pokój grzesznikowi!

WIĘZIEŃ

Dla Boga, on osłabiał, patrz — miota się, dąsa,

To jest wielka choroba, patrz, on usta kąsa.

(Ks. Piotr modli się)

KAPRAL

(do Więźnia)

Mój Panie, idźcie sobie, a nas tu zostawcie.

WIĘZIEŃ

Ale dla Boga! próżnych modlitew nieprawcie;

Podejmijcie go z ziemi, połóżmy do łóżka;

Księżu Piotrze.

KS. PIOTR

Tu zostaw.

WIĘZIEŃ

Oto jest poduszka.

(kładnie Konrada)

E, ja wiem, co to znaczy. — Czasem nań napada

Takie szaleństwo: długo śpiewa, potem gada,

A jutro zdrów jak ryba. Lecz kto wam powiedział,

Że on osłabiał?

KAPRAL

Panie, ot byś cicho siedział.

Niech brat Piotr pomodli się nad waszym kolegą;

Bo ja wiem, że tu było — coś — tu — niedobrego.

Gdy runt odszedł, w tej celi hałas posłyszałem,

Spojrzę dziurką od klucza, a co tu widziałem,

To mnie wiedzieć. Pobiegłem do mojego kmotra,

Bo on człowiek pobożny, do braciszka Piotra —  
Patrz na tego chorego: niedobrze się dzieje —

WIĘZIEŃ

Dalibóg nie pojmuję — nic, i oszaleję.

KAPRAL

Oszaleć? — Ej, Panowie, strzeżcie się, Panowie!  
U was usta wymowne, wiele nauk w głowie,  
A patrzcie, głowa mądra w prochu się taczała,  
I z tych ust, tak wymownych, patrzaj — piana biała.  
Słyszałem, co on śpiewał, ja słów nie pojąłem,  
Lecz było coś u niego w oczach i nad czołem.  
Wierz mi, że z tym człowiekiem niodobrze się dzieje  
Byłem ja w legijonach, nim wzięto w rekruty,  
Brałem szturmem fortece, klasztory, reduty;  
Więcej dusz wychodzących z ciała ja widziałem,  
Niżli Waćpan przeczytał książek w życiu całym.  
A to jest rzecz niemała widzieć, jak człek kona,  
Widziałem ja na Pradze księży zarzynanych,  
I w Hiszpaniji żywcem z wieży wyrzucanych;  
Widziałem matek szablą rozrywane łona,  
I dzieci konające na kozackich pikach,  
I Francuzów na śniegu, i Turków na palu;  
I wiem, co w konających widać męczennikach,  
A co w złodzieju, zbójcy, Turku lub Moskalu.  
Widziałem rozstrzelanych, co patrzyli śmieje  
W rurę broni, nie chcieli na oczy zastony;  
A jak padli na ziemię, widziałem w ich ciele  
Strach, co za życia wstydem i pychą więziony,  
Wyszedł z trupa jak owad i pełzał wokoło:  
Gorszy strach niż ten, który tchórza w bitwie nęka,  
Taki strach, że dość spojrzeć na zamarte czoło,  
Aby widzieć, że dusza dąsa się i lęka,  
Gardzi bólem i cierpi, i wieczna jej męka.  
A więc, mój Panie, myślę, że twarz umarłego  
Jest jak patent wojskowy do świata przyszłego;  
I poznasz zaraz, jak oń tam będzie przyjęty,  
W jakiej randze i stopniu: święty czy przeklęty. —  
A więc tego człowieka i pieśń, i choroba,  
I czoło, i wzrok wcale mi się nie podoba.  
Otóż Waćpan spokojnie idź do swojej celi,  
My z bratem Piotrem będziemy przy chorym siedzieli,

(Więzień odchodzi)

KONRAD

Przepaść — tysiąc lat — pusto — dobrze — jeszcze więcej!  
Ja wytrzymam i dziesięć tysięcy tysięcy —  
Modlić się? — tu modlitwa nie przyda się na nic —  
I byłaż taka przepaść bez dna i bez granic? —  
Nie wiedziałem — a była.

KAPRALI

Słyszysz, jak on szlocha.

KS. PIOTR

Synu mój, tyś na sercu, które ciebie kocha.  
(do Kaprała)  
Wyjdź stąd i patrz, ażeby nikt tędy nie chodził  
I póki stąd nie wyjdę, nikt mi nie przeszkodził.  
(Kapral odchodzi)

KONRAD

(zrywa się)

Nie! — oka mi nie wydarł! mam to silne oko,  
Widzę stąd, i stąd nawet, choć ciemno — głęboko,  
Widzę ciebie, Rollison, — bracie, cóż to znaczy?  
I tyś w więzieniu, zbity, krwią cały zbryzgany,  
I ciebie Bóg nie słuchał, i tyś już w rozpacz;  
Szukasz noża, próbujesz głowę tłuc o ściany: —  
"Ratunku!" — Bóg nie daje, ja ci dać nie mogę,  
Oko mam silne, spojrzę, może cię zabiję —  
Nie — ale ci pokażę okiem — śmierci drogę.  
Patrz, tam masz okno, wybij, skocz, zlec i złam szyję,  
I ze mną tu leć w głębie, w ciemność — lećmy na dół —  
Otchłań — otchłań ta lepsza niżli ziemi padół;  
Tu nie ma braci, matek, narodów, — tyranów —  
Pójdź tu.

KS. PIOTR

Duchu nieczysty, znam cię po twym jadzie,  
Znowuś tu, najchytrzejszy ze wszystkich szatanów,  
Znowu w dom opuszczony leziesz, brzydki gadzie.  
Tyś wpełznął w jego usta, na zgubęś tu wpełznął,  
Z Imię Pańskie jam ciebie pojmał i ochętnął.  
Exorciso...

DUCH

Stój, nie klnij — stój, odstęp od progu,



Wyjdę —

KS. PIOTR

Nie wyjdiesz, aż się upodoba Bogu.  
Lew z pokolenia Judy tu Pan — on zwycięża:  
Sieć na lwa zastawiłeś i w twym własnym wnuku  
Złowiłeś się — Bóg ciebie złowił w tym grzeszniku.  
W jego ustach chcę tobie najsroższy cios zadać:  
Kłamco, ja tobie każę, musisz prawdę gadać.

DUCH

Parle—moi donc francais, mon pauvre capucin,  
J'ai pu dans le grand monde oublier mon latin.  
Mais étant saint, tu dois avoir le don des langues  
Vielleicht sprechen Sie deutsch, was murmeln Sie so bang —  
What it is, — Cavalleros rispondero lo.

KS. PIOTR

Ty to z ust jego wrzeszczysz, stujęczyczna źmijo,

DUCH

C'est juste, dans ce jeu, nous sommes de moitié,  
Il est savant, et moi, diable de mon métier.  
J'etais son precepteur et je m'en glorifie,  
En sais—tu plus que nous? parle — je te défie.

KS. PIOTR

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

DUCH

Ale stój, stój, mój Księżu, stój, już dosyć tego;  
Tylko, księżuniu, nie męcz na próżno: — czyś szatan;  
Żeby tak męczyć!

KS. PIOTR

Ktoś ty?

DUCH

Lukrecy, Lewiatan,  
Voltaire, Alter Fritz, Legio sum.

KS. PIOTR

Coś widział?

DUCH

Zwierza.

KS. PIOTR  
Gdzie?

DUCH  
W Rzymie.

KS. PIOTR  
Nie słucha mię — wróćmy do pacierza.  
(modli się)

DUCH  
Ale słucham.

KS. PIOTR  
Gdzieś widział więźnia?

DUCH  
Mówię, w Rzymie —

KS. PIOTR  
Kłamiesz.

DUCH  
Księżę, na honor, na kochanki imię,  
Mej kochanki czarniutkiej, co tak do mnie wzdycha  
A wiesz ty, jak się zowie moja luba? — Pycha.  
Jakiś ty nieciekawym! —

KS. PIOTR  
(do siebie)  
Przeciwią się duchy;  
Upokórzmy się Panu i zrobmy akt skruchy.  
(modli się)

DUCH  
Ale co tam masz robić, ja sam stąd wyruszę,  
Przyznaję się, że wlałem niezgrabnie w tę duszę.  
Tu mnie kole — ta dusza jest jak skóra jeża,  
Włożyłem ją na wywrót, kolcami do kiszek.  
(Książdz modli się)  
Aleś bo i ty majster, choć prosty braciszek; —  
Osty, powinni ciebie obrać za papieża.  
Głupstwo stawiać w kościele na przód, jak kolumny,

A ciebie kryją w kątku; świecznik, gwiazdę blasku!

KS. PIOTR

Tyranie i pochlebco, i podły, i dumny,  
Żebyś pierś ugryzł, u nóg wleciesz się po piasku.

DUCH

(śmiejąc się)

Aha! gniewasz się, pacierz przerwałeś — da capo;  
Żebyś sam widział, jak ty śmiesznie kręcisz łapą —  
Istny niedźwiadek, gdy się broni od komarów! —  
On trzepie swoje, — no więc — dosyć już tych swarów!  
Znam twoją moc i chcę się tobie wypowiadać,  
Będę ci o przeszłości i przyszłości gadać. —  
A wiesz ty, co o tobie mówią w całym mieście?  
(Ksiądz modli się)

A wiesz ty, co to będzie z Polską za lat dwieście? —  
A wiesz, dlaczego tobie przeor tak nie sprzyja? —  
A wiesz, w Apokalipsie co znaczy bestyja? —  
Milczy i trzepie — oczy aż strach we mnie wlepił.  
Powiedz, Księżuniu, czegoś do mnie się uczeplił?  
Co ja winien, że takie mam odbierać chłosty  
Czy ja jestem król diabłów — wszak ja diabeł prosty.  
Zważ, czy to prawnie sługę ukarać za pana  
Wszakże ja tu przyszedłem z rozkazu Szatana.  
Trudno mu się tłumaczyć, bo z nim nie brat za brat,  
Jestem jako Kreishauptmann, Gubernator, Landrat —  
Każą duszę brać w areszt, biorę, sadzę w ciemność.  
Zdarza się przy tym duszy jaka nieprzyjemność  
Ale czyż z mojej winy? — jam ślepe narzędzie;  
Tyran szelma da ukaz, pisze: "Niech tak będzie" —  
Czyż to mnie miło męczyć, — mnie samemu męka. —  
Ach —

(wzdycha)

— jak to źle być czułym. — Ach, serce mi pęka.  
Wierzmi: gdy pazurami grzesznika odzieram  
Nieraz ogonem, ach! ach! — łyż sobie ocieram.

(Ksiądz modli się)

A wiesz, że jutro będziesz bity jako Haman?

KS. PIOTR

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, Amen.  
Ego te exorciso, spiritus immunde —

DUCH

Księżę, stój — słucham — gadam — stój — jedną sekundę!

KS. PIOTR

Gdzie jest nieszczęsny więzień, co chce zgubić duszę? —  
Milczysz — Exorciso te —

DUCH

Gadam, gadam — muszę.

KS. PIOTR

Kogo widziałeś?

DUCH

Więżnia.

KS. PIOTR

Jakiego?

DUCH

Grzesznika.

KS. PIOTR

Gdzie? —

DUCH

Tam, w drugim klasztorze.

KS. PIOTR

W jakim?

DUCH

Dominika.

Ten grzesznik już przeklęty, prawem mnie należy.

KS. PIOTR

Kłamiesz.

DUCH

On już umarły.

KS. PIOTR

Kłamiesz.

DUCH

Chory leży.

KS. PIOTR  
Exorciso te

DUCH  
Gadam, gadam, skaczę — śpiewam —  
Tylko nie klnij — jak gadać? — dusisz — ledwie ziewam.

KS. PIOTR  
Mów prawdę.

DUCH  
Grzesznik chory, lata bez pamięci  
I jutro rano szyję niezawodnie skręci.

KS. PIOTR  
Kłamiesz.

DUCH  
Poświadczy godny świadek, kmostr Belzebub.  
Pytaj go, męcz — niewinnej duszy mojej nie gub.

KS. PIOTR  
Jak ratować grzesznika?

DUCH  
Bodajeś zdechł klecho,  
Nie powiem.

KS. PIOTR  
Exorciso —

DUCH  
Ratować pociechą.

KS. PIOTR  
Dobrze, gadaj wyraźnie — czego mu potrzeba?

DUCH  
Mam chrypkę, nie wymówię.

KS. PIOTR  
Mów!

DUCH

Mój panie! królu!  
Daj odpocząć —

KS. PIOTR  
Mów, czego potrzeba —

DUCH  
Księżulu,  
Ja tego nie wymówię.

KS. PIOTR  
Mów!

DUCH  
He — Wina — Chleba —

KS. PIOTR  
Rozumiem, Chleba Twego i Krwi Twojej, Panie —  
Pójdę, i daj mi spełnić Twoje rozkazanie.  
(do Ducha)  
A teraz zabierz z sobą twe złości i błędy,  
Skąd wszedłeś i jak wszedłeś, idź tam i tamtędy.  
(Duch uchodzi)

KONRAD  
Dźwigasz mię! — ktoś ty? — strzeż się, sam spadniesz w te doły.  
Podaje rękę — lećmy — w górę jak ptak lecę —  
Mile oddycham wonią — promieniami świecę.  
Któż mi dał rękę? — dobrzy ludzie i anioły;  
Skądże litość, wam do mnie schodzić do tych dołów?  
Ludzie? — Ludźmi gardziłem, nie znałem aniołów.

KS. PIOTR  
Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.  
Usta, którymiś wieczny Majestat obraził,  
Te usta zły duch słowy szkaradnymi skaził;  
Słowa głupstwa, najsroższa dla mądrych ust męka,  
Oby ci policzone były za pokutę,  
Obyś o nich zapomniał —

KONRAD  
Już są tam — wykute.

KS. PIOTR  
Obyś, grzeszniku, nigdy sam ich nie wyczytał,

Oby cię o znaczenie ich Bóg nie zapytał —  
Módl się; myśl twoja w brudne obleczona słowa,  
Jak grzeszna, z tronu swego strącona królowa,  
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,  
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,  
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje  
I większym niżli pierwej blaskiem zajaśnieje.

Usnął —

(klęka)

— Twe miłosierdzie, Panie, jest bez granic.

(pada krzyżem)

Panie, otom ja sługa dawny, grzesznik stary,

Sługa już spracowany i niezgodny na nic.

Ten młody, zrób go za mnie sługą Twojej wiary,

A ja za jego winy przyjmę wszystkie kary.

On poprawi się jeszcze, on wsławi Tve imię.

Módlmy się, Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie.

(modli się)

(W bliskim kościele, za ścianą, zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Nad Księdzem Piotrem  
Chór aniołów na nutę; "Anioł pasterzom mówił")

CHÓR ANIOŁÓW

(głosy dziecinne)

Pokój temu domowi,

Spoczynek grzesznikowi.

Sługo! sługo pokorny, cichy,

Wniósłeś pokój w dom pychy.

Pokój temu domowi.

ARCHANIOŁ PIERWSZY

(na nutę "Bóg nasz ucieczką")

Panie, on zgrzeszył, przeciwko Tobie zgrzeszył on bardzo.

ARCHANIOŁ DRUGI

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim Twoi Anieli.

ARCHANIOŁ PIERWSZY

Tych zdepc, o Panie, tych złam, o Panie, którzy Tve święte sądy pogardzą.

ARCHANIOŁ DRUGI

Ale tym daruj, co świętych sądów Twych nie pojęli.

ANIOŁ

Kiedym z gwiazdą nadziei

Leciał świecąc Judei,

Hymn Narodzenia śpiewali anieli:  
Mędrcy nas nie widzieli,  
Królowie nie słyszeli.

Pastuszkowie postrzegli  
I do Betlejem biegli:  
Pierwsi wieczną mądrość witali,  
Wieczną władzę uznali:  
Biedni, prości i mali.

#### ARCHANIOŁ PIERWSZY

Pan, gdy ciekawość, dumę i chytryść w sercu Aniołów, sług swych, obaczył,  
Duchom wieczystym, aniołom czystym, Pan nie przebaczył.  
Runęły z niebios, jak deszcz gwiazdzisty, aniołów tłumy,  
I deszczem lecą za nimi co dzień mędrców rozumy.

#### CHÓR ANIOŁÓW

Pan małuczkim objawia,  
Czego wielkim odmawia.  
Litość! litość! nad synem ziemi,  
On był między wielkimi,  
Litość nad synem ziemi.

#### ARCHANIOŁ DRUGI

On sądów Twoich nie chodził badać jako ciekawy,  
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy.

#### ARCHANIOŁ PIERWSZY

On Cię nie poznał, on Cię nie uczcił, Panie nasz wielki!  
On Cię nie kochał, on Cię nie wezwał, nasz Zbawicielu!

#### ARCHANIOŁ DRUGI

Lecz on szanował imię Najświętszej Twej Rodzicielki.  
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu.

#### ANIOŁ

Krzyż w złoto oprawiony  
Zdobi królów korony.  
Na piersi mędrców błyszczą jak zorze,  
A w duszę wnieść nie może:  
Oświeć, oświeć ich, Boże!

#### CHÓR ANIOŁÓW

My tak ludzi kochamy,  
Tak z nimi być żądamy!



Wygności od mędrków i królów,  
Prostaczkę nas przytul, i  
Nad nim dzień, noc śpiewamy.

#### CHÓR ARCHANIOŁÓW

Podnieś tę głowę, a wstanie z prochu, niebios dosięże,  
I dobrowolnie padnie, i uczy krzyża podnoże;  
Wedle niej cały świat u stóp krzyża niechaj położy  
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy Pan nasz, o Boże!

#### OBADWA CHÓRY

Pokój, pokój prostocie,  
Pokornej, cichej cnoty!  
Sługo, sługo pokorny, cichy,  
Wnieście pokój w dom pychy,  
Pokój grzesznemu sierocie.

## SCENA IV

DÓM WIEJSKI PODE LWOWEM

POKÓJ SYPJALNY — EWA, MŁODA PANIENKA. WBIEGA, POPRAWIA KWIATY PRZED OBRAZEM  
NAJŚWIĘTSZEJ PANNY, KLĘKA I MODLI SIĘ. — WCHODZI MARCELINA

MARCELINA

Modlisz się jeszcze dotąd! — czas spać, północ biła..

EWA

Jużem się za ojczyznę moję pomodliła,  
Jak nauczono, i za ojca, i za mamę;  
Zmówmy jeszcze i za nich pacierze też same.  
Choć oni tak daleko, ale to są dziatki  
Jednej ojczyzny naszej, Polski, jednej matki.  
Litwin, co dziś tu przybył, uciekł od Moskali;  
Strach słyszeć, co tam oni z nimi wyrabiali.  
Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić;  
I jak Herod chce całe pokolenie zgładzić.  
Litwin ten bardzo ojca naszego zasmucił  
Poszedł w pole i dotąd z przechadzki nie wrócił.  
Mama na mszę poszła i obchód żałobny,  
Bo wielu z nich umarło. — Ja pacierz osobny  
Zmówię za tego, co te piosenki ogłosił;  
(pokazując książkę)  
I on także w więzieniu, jak nam gość donosił.  
Te piosenki czytałam; niektóre są piękne —  
Jeszcze pójdę, przed Matką Najświętszą uklęknę,  
Pomodlę się za niego; kto wie, czy w tej chwili  
Ma rodziców, żeby się za nim pomodlili.  
(Marcelina odchodzi)  
(Ewa modli się i usypia)

ANIOŁ

Lekko i cicho, jak lekkie sny zlećmy.

CHÓR ANIOŁÓW

Braciszka miłego sen rozweselmy,  
Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,  
Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy,  
Śpiewając i grając latajmy wiankiem,  
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.  
Rączęta liliowe za liście splećmy,  
Za róże kwitnące czoła rozniećmy,

Spod wstążek gwiazdzistych włosów nasz rozwiążmy.  
Rozpuśćmy w promienie, rozlejmy w wonie;  
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem  
Kochanka naszego piersi okrążmy,  
Kochanka naszego otulmy skronie.  
Śpiewając i grając latajmy wiankiem,  
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.

EWA

WIDZENIE

Deszczyk: tak świeży, miły, cichy jak rosa,  
I skąd ten deszczyk — tak czyste niebiososa,  
Jasne niebiososa! —  
Krople zielone, kraśne — trawki, równianki,  
Róże, lilije, wianki  
Obwijają mię wkoło. — Ach, jaki sen wonny,  
Sen lekki, słodki — oby był dozgonny.  
Różo błyszcząca, słoneczna,  
Lilijo przezczysta, mleczna!  
Ty nie z ziemi — tam roślaś, nad białym obłokiem.  
Narcyzie, jakim śnieżnym patrzysz na mnie okiem;  
A te błękitne kwiaty pamiątek,  
Jak źrenice niewiniątek —  
Poznałam — kwiatki moje — sama polewiałam,  
W moim ogródku wczora nazbierałam,  
I uwieńczyłam Matki Boskiej skronie,  
Tam nad łóżkiem na obrazku.  
Widzę — to Matka Boska — cudowny blasku!  
Pogląda na mnie, bierze wianek w dłonie,  
Podaje Jezusowi, a Jezus dziecię  
Z uśmiechem rzuca na mnie kwiecie —  
Jak wypiękniały kwiatki — jak ich wiele — krocie,  
A wszystkie w przelocie  
Szukają na powietrzu siebie,  
Moje kochanki!  
I same plotą się w wianki.  
Jak tu mnie miło, jak w niebie;  
Jak tu mnie dobrze, mój Boże; —  
Niech mię na zawsze ten wianek otoczy,  
Niech zasnę, umrę, patrząc w te róże,  
W te białe narcyzu oczy.

Róża, ta róża żyje!

Wstąpiła w nią dusza,  
Główką lekko rusza,

Jaki ogień z niej bije.  
To rumieniec żyjący — jak zorzy wniście.  
Śmieje się, jak na uśmiech rozwija liście,  
Roztula między liściem dwoje ust z koralu,  
Mówi, coś mówi — jak cicho, jak skromnie.  
Co ty, róžo, szepcesz do mnie?  
Zbyt cicho, smutnie — czy to głos żalu?  
Skarżysz się, żeś wyjęta z rodzinnej trawki?  
Nie wzięłam ciebie dla mojej zabawki,  
Jam tobą skronie Matki Najświętszej wieńczyła,  
Jam po spowiedzi wczora łzami cię poiła;  
A z twoich ust koralu  
Wylatują promieniem  
Iskierka po iskierce —  
Czy taka światłość jest twoim pieniem?  
Czego chcesz, róžo miła?

RÓŻA

Weź mnie na serce.

ANIOŁOWIE

Rozwiążmy, rozplećmy anielski wianek.

RÓŻA

Odwijam me skrzydła, wyplatam czoło.

ANIOŁOWIE

My w niebo do domu lećmy wesoło.

RÓŻA

Ja będę ją bawił, nim błysnie ranek,  
Na sennym jej sercu złożę me skronie:  
Jak święty apostoł, Pański kochanek,  
Na boskim Chrystusa spoczywał łonie.

# SCENA V

CELA KSIĘDZA PIOTRA

KS. PIOTR

(modli się leżąc krzyżem)

Panie! czymże ja jestem przed Twoim obliczem? —

Prochem i niczem;

Ale gdym Tobie moją nicość wypowiadał,

Ja, proch, będę z Panem gadał.

WIDZENIE

Tyran wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda

Wydana w ręce Heroda.

Co widzę? — długie, białe, dróg krzyżowych biegi,

Drogi długie — nie dojrzeć — przez puszcze, przez śniegi

Wszystkie na północ! — tam, tam w kraj daleki,

Płyną jak rzeki.

Płyną: ta droga prosto do żelaznej bramy.

Tamta jak strumień wpadła pod skałę, w te jamy,

A tamtej ujście w morzu. — Patrz! po drogach leci

Tłum wozów — jako chmury wiatrami pędzone,

Wszystkie tam w jedną stronę.

Ach, Panie! to nasze dzieci,

Tam na północ — Panie, Panie!

Takiż to los ich — wygnanie!

I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,

I pokolenie nasze zatracisz do końca? —

Patrz! — ha! — to dziecię uszło — rośnie — to obrońca!

Wskrziesiciel narodu,

Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy,

A imię jego będzie czterdzieści i cztery.

Panie! czy przyjscia jego nie raczysz przyśpieszyć?

Lud mój pocieszyć? —

Nie! lud wycierpi. — Widzę ten motłoch — tyrany,

Zbójce — biegą — porwali — mój Naród związany

Cała Europa wlecze, nad nim się urąga —

"Na trybunał!" — Tam zgraja niewinnego wciąga.

Na trybunale gęby, bez serc, bez rąk; sędzie —

To jego sędzie!

Krzyczą: "Gal, Gal sądzić będzie!"

Gal w nim winy nie znalazł i — umywa ręce,

A króle krzyczą: "Potęp i wydaj go męce;

Krew jego spadnie na nas i na syny nasze;  
Krzyżuj syna Maryi, wypuść Barabasze:  
Ukrzyżuj, — on cesarza koronę znieważa,  
Ukrzyżuj, — bo powiemy, żeś ty wróg cesarza".  
Gal wydał — już porwali — już niewinne skronie  
Zakrwawione, w szyderskiej, cierniowej koronie,  
Podnieśli przed świat cały — i ludy się zbiegły;  
Gal krzyczy:"Oto naród wolny, niepodległy!"

Ach, Panie, już widzę krzyż — ach, jak długo, długo  
Musi go nosić — Panie, zlituj się nad sługą.  
Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona —  
Krzyż ma długie, na całą Europę ramiona,  
Z trzech wyszłych ludów, jak z trzech twardych drzew ukuty. —  
Już wleką; już mój Naród na tronie pokuty —  
Rzekł: "Pragnę" — Rakus octem, Borus żółcią poi,  
A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.  
Patrz — oto żołdak Moskal z kopiją przyskoczył  
I krew niewinną mego narodu wytoczył.  
Cóżeś zrobił, najgłupszy, najsroższy z siepaczy!  
On jeden poprawi się, i Bóg mu przebaczy,

Mój kochanek! już głowę konającą spuścił,  
Wołając: "Panie, Panie, za coś mię opuścił!"  
On skonał!

(Słychać chóry aniołów — daleki śpiew wielkanocne pieśni — na końcu słychać; "Alleluja! Alleluja")

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata!  
I od stóp jego wionęła  
Biała jak śnieg szata —  
Spadła, — szeroko — cały świat się w nią obwinął.  
Mój kochanek na niebie, sprzed oczu nie zginął.  
Jako trzy słońca błyszczą jego trzy źrenice,  
I ludom pokazuje przebitą prawicę.

Któż ten mąż? — To namiestnik na ziemskim padole.  
Znałem go, — był dzieckiem — znałem,  
Jak urósł duszą i ciałem!  
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.  
Mąż straszny — ma trzy oblicza,  
On ma trzy czoła.  
Jak baldakim rozpięta księga tajemnicza  
Nad jego głową, osłania lice.  
Podnożem jego są trzy stolice.

Trzy końce świata drżą, gdy on woła;  
I słyszę z nieba głosy jak gromy:  
To namiestnik wolności na ziemi widomy!  
On to na sławie zbuduje ogromy  
Swego kościoła!  
Nad ludy i nad króle podniesiony;  
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony;  
A życie jego — trud trudów,  
A tytuł jego — lud ludów;  
Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,  
A imię jego czterdzieści i cztery.  
Sława! sława! sława!

(zasypia)

ANIOŁOWIE

(schodzą widomie)

Usnął — Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę  
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę  
Lekko zwlecemy; ubierzmy w światło jak jutrzenkę  
I lećmy. Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie,  
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecę;  
Niech uświęci sennego ojcowską pieśczętą,  
A przed ranną modlitwą duszę wrócim życiu,  
I znowu w czystych zmysłów otulim powiciu,  
I znowu złożym w ciało, jak w kolebkę złotą.

## SCENA VI

POKÓJ SYPIALNY WSPANIAŁY — SENATOR OBRACA SIĘ NA ŁOŻU I WZDYCHA — DWÓCH DIABLÓW  
NAD GŁOWĄ

DIABEŁ I

Spił się, a nie chce spać,  
Muszę tak długo stać,  
Łajdaku, cicho leż!  
Czy go tam kole jeż?

DIABEŁ II

Syp mu na oczy mak.

DIABEŁ I

Zasnął, wpadnę jak zwierz.

DIABEŁ II

Jako na wróbla ptak.

OBADWAJ

Duszę do piekła wlec,  
Wężami smagać, piec.

BELZEBUB

Wara!

DWAJ DIABŁY

Coś ty za kmotr?

BELZEBUB

Belzebub.

DWAJ DIABŁY

No, i coż?

BELZEBUB

Zwierzyny mi nie płosz.

DIABEŁ I

Ale gdy zaśnie łotr,  
Do mnie należy sen?

BELZEBUB



Jak ujrzy noc i żar,  
Srogość i mnogość kar,  
Złęknie się naszych scen;  
Przypomni jutro sen,  
Może poprawić się,  
Jeszcze daleko zgon.

DIABEŁ II  
(wyciągając szpony)  
Pozwól zabawić się —  
Co ty o niego drżysz,  
Gdy poprawi się on,  
Ja każę święcić się  
I wezmę w ręce krzyż.

BELZEBUB  
Jak zbyt nastraszysz raz,  
Gotów przypomnieć sen,  
Gotów oszukać nas,  
Wypuścisz ptaka z rąk.

DIABEŁ I  
(pokazując sennego)  
Ależ braciszek ten,  
Ten mój najmilszy syn,  
Będzież on spał bez mąk?  
Nie chcesz? — ja męczę sam.

BELZEBUB  
Łotrze, a znasz mój czyn?  
Od Cara zwierzchność mam!

DIABEŁ I  
Pardon — cóż każesz Waść?

BELZEBUB  
Możesz na duszę wpaść,  
Możesz ją w pychę wzdąć,  
A potem w hańbę pchnąć,  
Możesz w pogardzie wlec  
I szyderstwami siec,  
Ale o piekle cyt!  
My lećmy — fit, fit, fit.  
(odlatuje)

DIABEŁ I

Więc ja za duszę cap;  
Aha, łajdaku, drżysz!

DIABEŁ II

Tylko ją bierz do łap  
Lekko, jak kotek mysz.

WIDZENIE SENATORA

SENATOR

(przez sen)

Pismo! — to do mnie — reskrypt Jego Carskiej Mości!

Własnoręczny, — ha! ha! ha! — rubli sto tysięcy.

Order! — gdzie — lokaj, przypnij — tu. Tytuł książęcy!

A! — a! — Wielki Marszałku; a! — pękną z zazdrości.

(przewraca się)

Do Cesarza! — przedpokój — oni wszyscy stoją;

Nienawidzą mnie wszyscy, kłaniają się, boją.

Marszałek — Grand Contrôleur — ledwie poznasz, w masce.

Ach, jakie lube szemrania,

Dokoła lube szemrania:

Senator w łasce, w łasce, w łasce, w łasce, w łasce.

Ach, niech umrę, niech umrę wśród tego szemrania,

Jak wśród nałożnic moich łoskotania!

Każdy się kłania,

Jestem duszą zebrania.

Patrzą na mnie, zazdroszczą — nos w górę zadzieram.

O rozkoszy! umieram, z rozkoszy umieram!

(przewraca się)

Cesarz! — Jego Imperatorska Mość — a! Cesarz wchodzi,

A! — co? — nie patrzy! zmarszczył brwi — spójrzył ukosem?

Ach! — Najjaśniejszy Panie — ach! — nie mogę głosem —

Głos mi zamarł — ach! dreszcz, pot, — ach! dreszcz ziębi, chłodzi. — Ach, Marszałek! — co? do mnie odwraca się tyłem.

Tyłem, a! senatory, dworskie urzędniki!

Ach, umieram, umarłem, pochowany, zgniłem,

I toczą mię robaki, szyderstwa, żarciki.

Uciekają ode mnie. Ha! jak pusto! głucho.

Szambelan szelma, szelma! patrz, wyszczyrza zęby —

Dbrum — ten uśmiech jak pająk wleciał mi do gęby.

(spluwa)

Jaki dźwięk! — to kalambur — o brzydka mucho;

(opędza koło nosa)

Lata mi koło nosa

Jak osa.

I epigramy, żarciki, przytyki,  
Te szmery — ach, to świerszcze wlały mi w ucho:  
Moje ucho, moje ucho!  
(wytrząsa palcem ucho)  
Jaki szmer! — kamerjunkry świszczą jak puszczyki,  
Damy ogonem skrzeczą jak grzechotniki,  
Jaki okropny szmer! śmiechy! wrzaski:  
Senator wypadł z łaski, z łaski! z łaski, z łaski.  
(pada z łóżka na ziemię)

#### DIABŁY

(zstępują widomie)  
Teraz duszę ze zmysłów wydrzem, jak z okucia  
Psa złęgo; lecz nie całkiem, nałożym kaganiec,  
Na wpół zostawim w ciele, by nie tracił czucia;  
Drugą połowę wlecmy aż na świata kraniec,  
Gdzie się doczesność kończy, a wieczność zaczyna,  
Gdzie z sumnieniem graniczy piekielna kraina;  
I złe psisko uwiążem tam, na pograniczu:  
Tam pracuj, ręko moja, tam świstaj, mój biczu.  
Nim trzeci kur zapieje, musim z tej męczarni  
Wrócić zmordowanego, skalanego ducha;  
Znowu przykuć do zmysłów jako do łańcucha,  
I znowu w ciele zamknąć jako w brudnej psiarni.

## SCENA VII

SALON WARSZAWSKI

KILKU WIELKICH URZĘDNIKÓW, KILKU WIELKICH LITERATÓW. KILKA DAM WIELKIEGO TONU, KILKU JENERAŁÓW I SZTABSOFICERÓW; WSZYSCY INCOGNITO PIJĄ HERBATĘ PRZY STOLIKU — BLIŻEJ DRZWI KILKU MŁODYCH LUDZI I DWÓCH STARYCH POLAKÓW. STOJĄCY ROZMAWIAJĄ Z ŻYWOŚCIĄ — TOWARZYSTWO STOLIKOWE MÓWI PO FRANCUSKU, PRZY DRZWIACH PO POLSKU

PRZY DRZWIACH

ZENON NIEMOJEWSKI

(do Adolfa)

To i u was na Litwie toż samo się dzieje?

ADOLF

Ach, u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje!

NIEMOJEWSKI

Krew?

ADOLF

Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata,  
Nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata.  
(Rozmawiają ciszej)

PRZY STOLIKU

HRABIA

To bal był taki świetny, i wojskowych wiele?

FRANCUZ

Ja słyszałem, że było pusto jak w kościele.

DAMA

Owszem, pełno —

HRABIA

I świetny?

DAMA

O tym mówić długo.

KAMERJUNKIER

Służono najniezgrabniej, choć z liczną usługą;  
Nie miałem szklanki wina, ułamku pasztetu,  
Tak zawałono całe wniście do bufetu.

DAMA I

W sali tańców zgoła nic nie ugrupowano,  
Jak na raucie angielskim po nogach deptano.

DAMA II

Bo to był tylko jeden z prywatnych wieczorów.

SZAMBELAN

Przepraszam, bal proszony — mam dotąd bilety.  
(wyjmuje inwitacje i pokazuje, — wszyscy przekonywają się)

DAMA I

Tym gorzej? pomieszano grupy, toalety,  
Nie można było zgoła ocenić ubiorów.

DAMA II

Odtąd jak Nowosilcow wyjechał z Warszawy,  
Nikt nie umie gustownie urządzić zabawy;  
Nie widziałam pięknego balu ani razu.  
On umiał ugrupować bal na kształt obrazu.  
(Słychać między mężczyznami śmiech)

DAMA I

Śmiecie się, Państwo, mówcie, co się wam podoba,  
A była to potrzebna w Warszawie osoba.

PRZY DRZWIACH

JEDEN Z MŁODYCH

Cichowski uwolniony?

ADOLF

Ja znam Cichowskiego.  
Właśnie byłem, chciałem się dowiedzieć od niego,  
Żeby między naszymi na Litwie rozgłosić.

ZENON NIEMOJEWSKI

My powinniśmy z sobą łączyć się i znosić;  
Inaczej, rozdzieleni, wszyscy zginiem marnie.  
(Gadają ciszej)

MŁODA DAMA

(przy nich stojąca)

A jakie on okropne wytrzymał męczarnie!

(Rozmawiają)

PRZY STOLIKU

JENERAŁ

(do Literata)

Ale przeczytaj wreszcie — dajże się uprosić.

LITERAT

Ja nie umiem na pamięć.

JENERAŁ

Zwykłeś z sobą nosić.

Masz przy sobie pod frakiem — a — widzę okładki;

Damy chcą słyszeć.

LITERAT

Damy? — a! — to literatki.

Więcej wierszy francuskich na pamięć umieją

Niżli ja.

JENERAŁ

(idzie mówić z Damami)

Tylko niechaj Panie się nie śmieją.

DAMA

Macie robić lekturę? — przepraszam — choć umiem

Po polsku, ale polskich wierszy nie rozumiem.

JENERAŁ

(do Oficera)

Ma rację po części, bo nudne po trochu.

(pokazuje na Literata)

Opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu.

(do Literata)

Czytajże, jeśli ciebie nie będziem słuchali —

To patrz —

(pokazując na drugiego Literata)

— ten nam gazeciarz swe rymy wypali.

Śliczna byłaby wszystkim słuchaczom przysługa.

Patrz, jak się on zaprasza, jak śmieje się, mruga;

I usta już otworzył jak zdechłą ostrygę,

I oko zwrócił wielkie i słodkie jak figę.

LITERAT

(do siebie)

Wychodzą —  
(do Jenerała)  
Długie wiersze, ja bym piersi strudził.

JENERAŁ  
(do Oficera)  
Dobrze, że nie chce czytać, boby nas zanudził.

MŁODA DAMA  
(oddzielając się od grupy młodszej, ode drzwi)  
A to jest rzecz okropna —  
( do stolika)  
słuchajcie, Panowie!  
(do Adolfa)  
Niechaj Pan tym ichmościom o Cichowskim powie.

OFICER WYŻSZY  
Cichowski wypuszczony?

HRABIA  
Przesiedział lat tyle  
W więzieniu —

SZAMBELAN  
Ja myślałem, że leżał w mogile.  
(do siebie)  
O takich rzeczach słuchać nie bardzo bezpiecznie,  
A wyjść w środku powieści byłoby niegrzecznie.  
(wychodzi)

HRABIA  
Wypuszczony? — to dziwna.

ADOLF  
Nie znaleźli winy.

MISTRZ CEREMONII  
Ktoż tu mówi o winach; — są inne przyczyny —  
Kto długo był w więzieniu, widział, słyszał wiele —  
A rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,  
Które musi ukrywać. — To jest rzecz rządowa —  
Tajniki polityczne — myśl gabinetowa.  
To się tak wszędzie dzieje — są tajniki stanu —  
Ale Pan z Litwy, — a! a! — to jest dziwno Panu.  
Panowie na wsi, to tak chcecie o cesarstwie

Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swym gospodarstwie.  
(uśmiecha się)

KAMERJUNKIER

Pan z Litwy, i po polsku? nie pojmuję wcale —  
Ja myślałem, że w Litwie to wszystko Moskale.  
O Litwie, dalibógże! mniej wiem niż o Chinach —  
"Constitutionnel" coś raz pisał o Litwinach,  
Ale w innych gazetach francuskich ni słowa.

PANNA

(do Adolfa)

Niech Pan opowie, — to rzecz ważna, narodowa.

STARY POLAK

Znałem starych Cichowskich, poczciwa rodzina;  
Oni są z Galicyi. Słyszałem, że syna  
Wzięli i zamorzyli: — mój krewny daleki!  
Nie widziałem go dawno, — o ludzie! o wieki!  
Trzy pokolenia przeszły, jak nas przemoc dręczy;  
Męczyła ojców naszych, — dzieci, wnuków męczy!

ADOLF

(Wszyscy zbliżają się i słuchają)

Znałem go będąc dzieckiem; — był on wtenczas młody,  
Żywy, dowcipny, wesół i sławny z urody;  
Był duszą towarzystwa; gdzie się tylko zjawił,  
Wszystkich opowiadaniem i żartami bawił;  
Lubił dzieci i często brał mię na kolana,  
U dzieci miał on tytuł "wesolego pana".  
Pamiętam włosy jego, — nieraz ręce moje  
Płatałem w jasnych włosów kędzierzawe zwoje.  
Wzrok pamiętam, — musiał być wesóły, niewinny,  
Bo kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny;  
I patrząc na nas, wabił nas do swej żrenicy,  
Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy równiennicy.  
On wtenczas miał się żenić; — pomnę, że przynosił  
Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił.  
Potem długo nie przyszedł, i mówiono w domu,  
Że nie wiedzieć gdzie zniknął, umknął po kryjomu,  
Szuka rząd, ale śladu dotąd nie wytropił;  
Na koniec powiedziano: zabił, się, utopił.  
Policja dowodem stwierdziła domysły,  
Znaleziono płaszcz jego nad brzegami Wisły;  
Przyniesiono płaszcz żonie — poznała — on zginał;



Trupa nie znaleziono — i tak rok przeminął.  
Dlaczegoż on się zabił? — pytano, badano,  
Żałowano, płakano; wreszcie — zapomniano.

I minęło dwa lata. — Jednego wieczora  
Więźniów do Belwederu wiedziono z klasztoru.  
Wieczór ciemny i dżdżysty; — nie wiem, czy przypadkiem,  
Czy umyślnie ktoś był tej procesyi świadkiem;  
Może jeden z odważnych warszawskich młodzieńców,  
Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców:  
Warty stały w ulicach, głucho było w mieście —  
Wtem ktoś zza muru krzyknął: "Więżnie, kto jesteście?"  
Sto ozwało się imion; — wśród nich dosłyszano  
Jego imię, i żonie nazajutrz znać dano.  
Pisała i latała, prosiła, błagała,  
Lecz prócz tego imienia — nic nie postyszała.  
I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści.  
Lecz nie wiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści,  
Że on żyje, że męczą, że przyznać się wzbrania  
I że dotąd nie złożył żadnego wyznania;  
Że mu przez wiele nocy spać nie dozwolano,  
Że karmiono śledziami i pić nie dawano;  
Że pojono opijum, nasyłano strachy,  
Larwy; że łoskotano w podeszwy, pod pachy —  
Lecz wkrótce innych wzięto, o innych zaczęli  
Mówić; żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno przed domem żony w nocy dzwonią —  
Otworzono: Oficer i żandarm pod bronią,  
I więzień. — On — każą dać pióra i papieru;  
Podpisać, że wrócony żywy z Belwederu.  
Wzięli podpis, i palcem pogroziwszy: "Jeśli  
Wydasz..." — i nie skończyli; jak weszli, odeszli.  
To on był. — Biegę widzieć, przyjaciel ostrzega:  
"Nie idź dzisiaj, bo spotkasz pod wrotami szpiega".  
Idę nazajutrz, w progu policyjskie draby;  
Idę w tydzień, on sam mię nie przyjmuje, słaby.  
Aż niedawno za miastem w pojeździe spotkałem —  
Powiedziano, że to on, bo go nie poznałem.  
Utył, ale to była okropna otyłość:  
Wydeła go zła strawa i powietrza zgniłość;  
Policzki mu nabrzmiały, poźółkły i zbladły,  
W czole zmarszczki półwieku, włosy wszystkie spadły.  
Witam, on mię nie poznał, nie chciał mówić do mnie,  
Mówię, kto jestem, patrzy na mnie bezprzytomnie.

Gdym dawnej znajomości szczegóły powiadał,  
Wtenczas on oczy we mnie utopił i badał.  
Ach! wszystko, co przecierpiał w swych męczarniach dziennych,  
I wszystko, co przemyślił w swych nocach bezsennych,  
Wszystko poznałem w jednej chwili z jego oka;  
Bo na tym oku była straszliwa powłoka.  
Źrenice miał podobne do kawałków szklanych,  
Które zostają w oknach więzień kratowanych,  
Których barwa jest szara jak tkanka pajęczna,  
A które, patrząc z boku, świecą się jak tęcza:  
I widać w nich rdzę krwawą, iskry, ciemne plamy,  
Ale ich okiem na wskrós przebić nie zdołamy:  
Straciły przezroczystość, lecz widać po wierzchu,  
Że leżały w wilgoci, w pustkach, w ziemi, w zmierzchu.

W miesiąc poszedłem znowu, myślałem, że zdoła  
Rozpatrzeć się na świecie i pamięć przywoła.  
Lecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą,  
Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,  
Tyle lat go badały mękami tyrany,  
Tyle lat otaczały słuch mające ściany;  
A całą jego było obroną — milczenie,  
A całym jego były towarzystwem — cienie?  
Że już się nie udało wesołemu miastu  
Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.  
Słońce zda mu się szpiegiem, dzień donosicielem,  
Domowi jego strażą, gość nieprzyjacielem.  
Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,  
Na klamki trzask on myśli zaraz: idą śledzić;  
Odwraca się i głowę na rękę opiera,  
Zdaje się, że przytomność, moc umysłu zbiera:  
Ścina usta, by słowa same nie wypadły,  
Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co nie zgadły.  
Pytany, myśląc zawsze, że jest w swym więzieniu,  
Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,  
Krzyżąc zawsze dwa słowa: "Nic nie wiem, nie powiem!"  
I te dwa słowa — i jego stały się przysłowiem;  
I długo przed nim płacze na kolanach żona  
I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie;  
Myślałem, że on ją nam najlepiej opowie,  
Wyda na jaw spod ziemi i spod straży zbirów  
Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów: —  
Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,

Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.  
I cóż on na pytania moje odpowiedział?  
Że o swoich cierpieniach sam już nic nie wiedział,  
Nie pomniał. — Jego pamięć zapisana cała  
Jak księga herkulańska pod ziemią szcerniała:  
Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać,  
Rzekł tylko: "Będę o to Pana Boga pytać,  
On to wszystko zapisał, wszystko mnie opowie".  
(Adolf łyżociera)  
(Długie milczenie)

DAMA MŁODA

(do Literata)

Czemu to o tym pisać nie chcecie Panowie?

HRABIA

Niech to stary Niemcewicz w pamiętniki wsadzi;  
On tam, słyszałem, różne szpargały gromadzi.

LITERAT I

To historyja!

LITERAT II

Straszna.

KAMERJUNKIER

Dalibóg wyśmienita.

LITERAT I

Takich dziejów słuchają, lecz kto je przeczyta?  
I proszę, jak opiewać spólczesne wypadki;  
Zamiast mitologii są naoczne świadki.  
Potem, jest to wyraźny, święty przepis sztuki,  
Że należy poetom czekać — aż — aż —

JEDEN Z MŁODZIEZY

Póki? —

Wieleż lat czekać trzeba, nim się przedmiot świeży  
Jak figa ucukruje, jak tytuń uleży?

LITERAT I

Nie ma wyraźnych reguł.

LITERAT II

Ze sto lat.

LITERAT I

To mało!

LITERAT III

Tysiąc, parę tysięcy —

LITERAT IV

A mnie by się zdało,  
Że to wcale nie szkodzi, że przedmiot jest nowy;  
Szkoda tylko, że nie jest polski, narodowy.  
Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,  
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;  
Śpiewać, na przykład, wiejskich chłopców zalecanki,  
Trzody, cienie — Sławianie, my lubim sielanki.

LITERAT I

Spodziewam się, że Panu przez myśl nie przejedzie,  
Aby napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie.  
Ja mówię, że poezji nie ma bez poloru,  
A polor być nie może tam, gdzie nie ma dworu:  
Dwór to sądzi o smaku, piękności i stawie;  
Ach, ginie Polska! dworu nie mamy w Warszawie.

MISTRZ CEREMONII

Nie ma dworu! — a to mię dziwi niepomału,  
Przecież ja jestem mistrzem ceremonijału.

HRABIA

(cicho do Mistrza)

Gdybyś Namiestnikowi wyrzekł za mną słówko,  
Moja żona byłaby pierwszą pokojówką.

(głośno)

Ale próżno, nie dla nas wysokie urzędy!  
Arystokracja tylko ma u dworu względy.

DRUGI HRABIA

(niedawno kreowany z mieszczan)

Arystokracja zawsze swobód jest podporą,  
Niech Państwo przykład z Wielkiej Brytaniji biorą.  
(Zaczyna się kłótnia polityczna — młodzież wychodzi)

PIERWSZY Z MŁODYCH

A fotry! — o, to kija!

A\*\*\* G\*\*\*

O, to stryczka, haku!

Ja bym im dwór pokazał, nauczyłbym smaku.

N\*\*\*

Patrzcie, coż my tu pocniem, patrzcie, przyjaciele,

Otóż to jacy stoją na narodu czele,

WYSOCKI

Powiedz raczej: na wierzchu. Nasz naród jak lawa,

Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,

Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyiębi;

Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

(Odchodzą)

## SCENA VIII

PAN SENATOR

W WILNIE — SALA PRZEDPOKOJOWA; NA PRAWO DRZWI DO SALI KOMISJI ŚLEDCZEJ. GDZIE PROWADZĄ WIĘŹNIÓW I WIDAĆ OGROMNE PLIKI PAPIERÓW — W GŁĘBI DRZWI DO POKOJÓW SENATORA. GDZIE SŁYCHAĆ MUZYKĘ — CZAS: PO OBIEDZIE — U OKNA SIEDZI SEKRETARZ NAD PAPIERAMI; DALEJ NIECO NA LEWO STOLIK, GDZIE GRAJA W WISKA — NOWOSILCOW PIJE KAWĘ; KOŁO NIEGO SZAMBELAN BAJKOW, PELIKAN I JEDEN DOKTOR — U DRZWI WARTA I KILKU LOKAJÓW NIERUCHOMYCH.

SENATOR

(do Szambelana)

Diable! quelle corvée! — przecież po obiedzie.  
La princesse nas zwiodła i dziś nie przyjedzie.  
Zresztą, en fait des dames, stare, albo głupie: —  
Gadać, imaginez—vous, o sprawach przy supie!  
Je jure, tych patryjotków nie mieć a ma table,  
Avec leur franc parler et leur ton detestable.  
Figurez—vous — ja gadam o strojach, kasynie,  
A moja kompanija o ojcu, o synie: —  
"On stary, on zbyt młody, Panie Senatorze,  
On kozy znieść nie może, Panie Senatorze,  
On prosi spowiednika, on chce widzieć żonę,  
On..." — Que sais—je! — piękny dyskurs w obiady proszone.  
Il y a de quoi oszaleć; muszę skończyć sprawę  
I uciec z tego Wilna w kochaną Warszawę.  
Monseigneur mnie napisał de revenir bientot,  
On się beze mnie nudzi, a ja z tą hołotą —  
Je n'en puis plus —

DOKTOR

(podchodząc)

Mówiłem właśnie, Jaśnie Panie,  
Że ledwie rzecz zaczęta, i sprawa w tym stanie,  
W jakim jest chory, kiedy lekarz go nawiedzi  
I robi anagnosin. Mnóstwo uczniów siedzi,  
Tyle było śledzenia, żadnego dowodu;  
Jeszcześmy nie trafili w samo jądro wrzodu.  
Cóż odkryto? wierszyki! ce sont des maux legers,  
Ce sont, można powiedzieć, accidents passagers;  
Ale osnowa spisku dotąd jest tajemną,  
I...

SENATOR

(z urazą)

Tajemną? — to, widzę, Panu w oczach ciemno!

I nie dziw, po obiedzie — więc, signor Dottore,

Adio, bona notte — dzięki za perorę!

Tajemną! sam śledziłem i ma być tajemną?

I vous osez, Docteur, mówić tak przede mną?

Któż kiedy widział formalniejsze śledztwa?

(pokazując papiery)

Wyznania dobrowolne, skargi i świadectwa,

Wszystko jest, i tu cały spisek świętokradzki

Stoi spisany jasno jak ukaz senacki. \* —

Tajemną! — za te nudy, owoż co mam w zysku.

DOKTOR

Jaśnie Panie, excusez, któż wątpi o spisku!

Właśnie mówię — że...

LOKAJ

Człowiek kupca Kanissyna

Czeka i jakiś Panu rejestr przypomina.

SENATOR

Rejestr? jaki tam rejestr? — kto?

LOKAJ

Kupiec Kanissyn,

Co mu Pan przyjąć rozkazał...

SENATOR

Idźże precz, sukisyn!

Widzisz, że ja zajęty.

DOKTOR

(do Lokajów)

A głupie bestyje!

Przychodzić — Pan Senator, widzisz, kawę pije.

SEKRETARZ

(wstając od stolika)

On powiada, że jeśli Pan zapłatę zwleka,

On zrobi proces.

SENATOR

Napisz grzecznie, niechaj czeka.

(zamyśla się)

A propos — ten Kanissyn — trzeba mu wziąć syna  
Pod śledztwo. — Oj, to ptaszek!

SEKRETARZ

To mały chłopczyna.

SENATOR

Oni to wszyscy mali, ale patrz w ich serce —  
Najlepiej ogień zgasić, dopóki w iskiecie.

SEKRETARZ

Syn Kanissyna w Moskwie.

SENATOR

W Moskwie? — a, voyez-vous,  
Emisaryjusz klubów. — Czas zabezpieczyć temu,  
Wielki czas.

SEKRETARZ

On podobno u kadetów służy.

SENATOR

U kadetów? — voyez-vous, on tam wojsko burzy.

SEKRETARZ

Dzieckiem z Wilna wyjechał.

SENATOR

Oh! cet incendiaire  
Ma tu korespondentów.  
(do Sekretarza)  
Ce n'est pas ton affaire,  
Rozumiesz! — Hej, deżurny! — We dwadzieście cztery  
Godzin wysłać kibitkę i zabrać papiery.  
Zresztą ojciec lękać się nas nie ma przyczyny,  
Jeśli syn dobrowolnie przyzna się do winy.

DOKTOR

Właśnie jak miałem honor mówić Jaśnie Panu,  
Są tam ludzie różnego i wieku, i stanu; —  
To najniebezpieczniejsze — jest spisku symptoma,  
A wszystkim rusza pewna sprężyna kryjoma,  
Którą...

SENATOR



(z urazą)  
Kryjoma?

DOKTOR  
Mówię, tajemnie skrywana,  
Odkryta dzięki przezorności Jaśnie Pana.  
(SENATOR odwraca się)  
(do siebie)  
To szatan niecierpliwy, — z tym człowiekiem bieda!  
Mam tyle ważnych rzeczy; wymówić mi nie da.

PELIKAN  
(do Senatora)  
Co Pan Senator każe z Rollisonem robić?

SENATOR  
Jakim?

PELIKAN  
Co to na śledztwie musiano go obić.

SENATOR  
Eh bien?

PELIKAN  
On zachorował.

SENATOR  
Wieleż kijów dano?

PELIKAN  
Byłem przy śledztwie, ale tam nie rachowano. —  
Pan Botwinko śledził go.

BAJKOW  
Pan Botwinko; cha, cha —  
O! nieprędko on kończy, gdy się raz rozmacha.  
Ja zaręczam, że on go opatrzył nieszpetynie —  
Parions, że mu wyliczył najmniej ze trzy setnie.

SENATOR  
(zadziwiony)  
Trois cents coups et vivant? trois cents coups, le coquin;  
Trois cents coups sans mourir — quel dos de jacobin!  
Myślałem, że w Rosyi la vertu cutanee

Surpasse tout — ten łotr ma une peau mieux tannée!  
Je n'y conçois rien! — ha, ha, ha, ha, mon ami!  
(do grającego w wiska, który czeka na swego kompana)  
Polaki nam odbiorą nasz handel skórami.  
Un honnete soldat en serait mort dix fois!  
Quel rebelle —  
(podchodzi do stolika)  
dla Pana mam un homme de bois —  
Chłopiec drewniany; dał mu sam Botwinko kije.  
Trzysta kijów dziecięciu — figurez-vous? żyje!  
(do Pelikana)  
Nic nie wyznał?

PELIKAN

Prawie nic; — zęby tylko zaciął,  
Krzyczy, że nie chce skarżyć niewinnych przyjaciół.  
Ale z tych kilku słówek odkrywa się wiele —  
Widać, że ci uczniowie — jego przyjaciele.

SENATOR

C'est juste: jaki upór!

DOKTOR

Właśnie powiadałem  
Jaśnie Panu, że młodzież zarażają szalem,  
Ucząc ich głupstw: na przykład, starożytne dzieje!  
Któż nie widzi, że młodzież od tego szaleje.

SENATOR

(wesoło)

Vous n'aimez pas l'histoire, — ha, ha, un satirique  
Aurait dit, że boisz się devenir historique.

DOKTOR

I owszem, uczyć dziejów, niech się młodzież dowie  
Co robili królowie, wielcy ministrowie.

SENATOR

C'est juste.

DOKTOR

(ucieszony)

Właśnie mówię, widzi Pan Dobrodziéj,  
Że jest sposób wykładać dzieje i dla młodzi.  
Lecz po co zawsze prawić o republikanach,

Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach.

PELIKAN

(do jednego ze swoich towarzyszków, pokazują Doktora)

Patrz, patrz, jak za nim łązi pochlebca przeklęty,

I wścibi się mu w łaskę — co to za wykręty!

(podchodzi do Doktora)

Ale cóż o tym mówić, czy to teraz pora;

Zważ no, czy można nudzić pana Senatora.

LOKAJ

(do Senatora)

Czy Pan rozkaże wpuścić te panie — kobiety —

Pan wie — co wysiadają tu co dzień z karety.

Jedna ślepa, a druga —

SENATOR

Ślepa? któż to ona?

LOKAJ

Pani Rollison.

PELIKAN

Matka tego Rollisona.

LOKAJ

Co dzień tu są.

SENATOR

Odprawić było —

DOKTOR

Z Panem Bogiem!

LOKAJ

Odprawiamy, lecz siada i skwierczy pod progiem.

Kazaliśmy brać w areszt, — ze ślepą kobietą

Trudno iść, lud się skupił, żołnierza wybito.

Czy mam wpuścić?

SENATOR

E! rady sobie dać nie umiesz —

Wpuścić; tylko aż do pół schodów, czy rozumiesz?

A potem ją sprowadzić — aż w dół — o tak

(z gestem)

— tego;

Żeby nas nie nudziła więcej swą włóczęgą.

(Drugi Lokaj wchodzi i oddaje list Baikowowi)

No, czegoż stoisz, póddże —

BAJKOW

Elle porte une lettre.

(oddaje list)

SENATOR

Któż by to za nią pisał?

BAJKOW

La princesse peut—etre.

SENATOR

(czyta)

Księżna! skąd jej to przyszło? na kark mi ją wpycha.

Avec quelle chaleur! — Wpuścić ją, do licha.

(Wchodzą dwie Damy i Ksiądz Piotr)

PELIKAN

(do Bajkowa)

To stara czarownica, mere de ce fripon,

SENATOR

(grzecznie)

Witam, witam, któraż z pań jest pani Rollison?

P. ROLLISON

(z płaczem)

Ja — mój syn! Panie Dobrodzieju...

SENATOR

Proszę — chwilę,

Pani masz list, a po cóż przyszło tu pań tyle?

DRUGA DAMA

Nas dwie.

SENATOR

(do Drugiej)

I po cóż Panią mam tu honor witać?

DRUGA

Pani Rollison trudno drogi się dopytać,  
Nie widzi. —

SENATOR

Ha! nie widzi — a to wacha może?  
Bo co dzień do mnie trafia.

DRUGA

Ja tu ją przywożę,  
Ona sama i stara, i nie bardzo zdrowa.

P. ROLLISONOWA

Na Boga...!

SENATOR

Cicho.  
(do Drugiej)  
Pani któż jesteś?

DRUGA

Kmitowa.

SENATOR

Lepiej siedź w domu i miej o synach staranie.  
Jest na nich podejrzenie.

KMITOWA

(bladnąc)  
Jak to, jak to? Panie!  
(Senator śmieje się)

P. ROLLISONOWA

Panie! litość — ja wdowa! Panie Senatorze!  
Słyszałam, że zabili — czyż można, mój Boże!  
Moje dziecko! — Ksiądz mówi, że on jeszcze żyje;  
Ale go biją, Panie! któż dzieci tak bije! —  
Jego zbito — zlituj się — po katowsku zbito.  
(płacze)

SENATOR

Gdzie? kogo? — gadaj przecie po ludzku, kobito.

P. ROLLISONOWA

Kogo? ach, dziecko moje! Mój Panie — ja wdowa —  
Ach, wieleż to lat, póki człek dziecko wychowa!

Mój Jaś już drugich uczył; niech Pan wszystkich spyta,  
Jak on uczył się dobrze. — Ja biedna kobiéta!  
On mnie żywił ze swego szczupłego dochodu —  
Ślepa, on był mnie okiem — Panie, umrę z głodu.

SENATOR

Kto poplótł, że go bili, nie wyjdzie na sucho.  
Kto mówił?

P. ROLLISONOWA

Kto mnie mówił? ja mam matki ucho,  
Ja ślepa; teraz w uchu cała moja dusza,  
Dusza matki. — Wiedli go wczora do ratusza;  
Słyszałam —

SENATOR

Wpuszczono ją?

P. ROLLISONOWA

Wypchnęli mię z progu  
I z bramy, i z dziedzińca. Siadłam tam na rogu,  
Pod murem; — mury grube, — przyłożyłam ucho —  
Tam siedziałam od rana. — W północ, w mieście głucho,  
Słucham — w północ, tam z muru — nie, nie zwodzę siebie;  
Słyszałam go, słyszałam, jak Pan Bóg na niebie;  
Ja głos jego słyszałam uszami własnymi —  
Cichy, jakby spod ziemi, jak ze środka ziemi. —  
I mój słuch wszedł w głąb muru, daleko, głęboko;  
Ach, dalej poszedł niżli najbystrzejsze oko.  
Słyszałam, męczono go —

SENATOR

Jak w gorączce bredzi!  
Ale tam, moja Pani, wielu innych siedzi?

P. ROLLISONOWA

Jak to? — czyż to nie był głos mojego dziecięcia?  
Niema owca pozna głos swojego jagnięcia  
Śród najliczniejszej trzody — ach, to był głos taki! —  
Ach, dobry Panie, żebyś słyszał raz głos taki,  
Ty byś już nigdy w życiu spokojnie nie zasnął!

SENATOR

Syn Pani zdrów być musi, gdy tak głośno wrzasnął.

P. ROLLISONOWA

(pada na kolana)

Jeśli masz ludzkie serce...

(Otwierają się drzwi od sali — słysząc muzykę — wbiega Panna ubrana jak na bal)

PANNA

Monsieur le Sénateur —

Oh! je vous interromps, on va chanter le chœur

De "Don Juan"; et puis le concerto de Herz...

SENATOR

Herz! chœur! tu także była mowa około serc.

Vous venez a propos, vous belle comme un cœur.

Moment sentimental! il pleut ici des cœurs.

(do Bajkowa)

Żeby le grand-duc Michel ten kalambur wiedział,

Ma foi, to już bym dawno w radzie państwa siedział.

(do Panny)

J'y suis — dans un moment.

P. ROLLISONOWA

Panie, nie rzucaj nas.

W rozpaczy, ja nie puszcę —

(chwyta za suknię)

PANNA

Faites—lui donc grace!

SENATOR

Diable m'emporte, jeśli wiem, czego chce ta jędza.

P. ROLLISONOWA

Chcę widzieć syna.

SENATOR

(z przyciskiem)

Cesarz nie pozwała.

KS. PIOTR

Księżda!

P.ROLLISONOWA

Księżda przynajmniej poszlij, syn mój prosi księżda.

Może kona; gdy ciebie płacz matki nie wzruszy,

Bój się Boga, dręcz ciało, ale nie gub duszy.

SENATOR

C'est drole; — kto te po mieście wszystkie plotki nosi,  
Kto Wać Pani powiedział, że on księdza prosi?

P. ROLLISONOWA

(pokazując Księdza Piotra)

Ten Ksiądz poczciwy mówił; on tygodni tyle  
Biega, błaga, lecz nie chcą wpuścić i na chwilę.  
Spytaj księdza, on powie...

SENATOR

(patrząc bystro na Księdza)

To on wie? — poczciwy! —  
No zgoda, zgoda, — dobrze, — Cesarz sprawiedliwy;  
Cesarz księży nie wzbrania, owszem sam posyła,  
Aby do moralności młodzież powróciła.  
Nikt jak ja religiji nie ceni, nie lubi —  
(wzdycha)  
Ach, ach, brak moralności, to, to młodzież gubi.  
Eh bien, żegnam więc Panie.

P. ROLLISONOWA

(do Panny)

Ach, Panienko droga!  
Wstaw się ty jeszcze za mną, ach, na rany Boga!  
Mój syn mały! — rok siedzi o chlebie i wodzie,  
W zimnym, ciemnym więzieniu, bez odzieży, w chłodzie.

PANNA

Est—il possible?

SENATOR

(w ambarasie)

Jak to, jak to? on rok siedział?  
Jak to, imaginez-vous — jam o tym nie wiedział!  
(do Pelikana)  
Słuchaj, trzeba tę sprawę najpierwej rozpatrzeć,  
Jeśli to prawda, uszy komisarzom natrzeć.  
(do Rollisonowej)  
Soyez tranquille, przyjdź tu o siódmej godzinie.

P. KMITOWA

Nie płacz tak, pan Senator nie wie o twym synie,  
Jak się dowie, obaczysz, może oswobodzi.



P.ROLLISONOWA

(uradowana)

Nie wie? — chce wiedzieć? o, rucch mu Pan Bóg nagrodzi.

Ja to zawsze mówiłam ludziom; być nie może

Tak okrutny, jak mówią, on stworzenie Boże,

On człowiek, jego matka mlekiem wykarmiła —

Ludzie śmieli się; widzisz, jam prawdę mówiła.

(do Senatora)

Tyś nie wiedział — te łotry wszystko tobie tają.

Wierz mi, Panie, tyś łotrów otoczony zgrają;

Nie ich pytaj, nas pytaj, my wszystko powiemy,

Całą prawdę —

SENATOR

(śmiejąc się)

No dobrze, o tym pomówiemy,

Dziś nie mam czasu, adieu. — Księżnej powiedz, Pani,

Że co można, to wszystko każę zrobić dla niej.

(grzecznie)

Adieu, Madame Kmit, adieu — co mogę, to zrobię.

(do Księdza Piotra)

Waść, Księżu, zostań, parę słów mam szepnąć tobie.

(do Panny)

J'y suis dans un moment,

(Wszyscy odchodzą prócz dawnych osób)

SENATOR

(po pauzie do Lokajów)

A szelmy, łajdaki!

Łotry, stoicie przy drzwiach i porządek taki?

Skórę wam zedrę, szelmy, służby was nauczę:

(do jednego lokaja)

Słuchaj — ty idź za babą —

(do Pelikana)

Nie, Panu poruczę.

Skoro wyjdzie od Księżnej, daj jej pozwolenie

Widzieć syna i prowadź aż tam — tam, w więzienie;

Potem osobno zamknij, — tak, na cztery klucze.

C'en est trop — a łajdaki, służby was nauczę!

(rzuca się na krzesło)

LOKAJ

(ze drżeniem)

Pan kazał wpuścić —

SENATOR

(schwytyjąc się)

Co? co? — ty śmiesz, ty! mnie gadać?

Toś wyuczył się w Polsce panu odpowiadać.

Stój, stój. ja cię oduczę. — Wieść go do kwatery

Policmejstra — sto kijów i tygodnie cztery

Na chleb i wodę —

PELIKAN

Niech Pan Senator uważy,

Iż mimo tajemnicy i czujności straży

O biciu Rollisona niechętnie osoby

Wieść roznoszą, i może wynajdą sposoby

Oczernić przed Cesarzem nasze czyste chęci,

Jeśli się temu śledztwu prędko łeb nie skręci.

DOKTOR

Właśnie ja rozmyślałem nad tym, Jaśnie Panie.

Rollison od dni wielu cierpi pomieszanie;

Chce sobie życie odjąć, do okien się rzuca,

A okna są zamknięte...

PELIKAN

On chory na płuca;

Nie należy w zamkniętym powietrzu go morzyć;

Rozkażę mu więc okna natychmiast otworzyć.

Mieszka na trzecim piętrze — powietrza użyje...

SENATOR

(roztargniony)

Wpuszczać mi na kark babę, gdy ja kawę piję;

Nie dadzą chwili —

DOKTOR

Właśnie mówię, Jaśnie Panie,

Że potrzeba mieć większe o zdrowiu staranie.

Po obiedzie, mówiłem zawsze, niechaj Pan te

Sprawy odłoży na czas: — ça mine la santé.

SENATOR

(spokojnie)

Eh, mon Docteur, przed wszystkim służba i porządek.

Potem, to owszem dobrze na słaby żołądek;

To żółć porusza, a żółć fait la digestion.

Po obiedzie, ja mógłbym voir donner la question,  
Kiedy tak każe służba: — en prenant son café,  
Wiesz co, to chwila właśnie widzieć auto-da-fé,

PELIKAN

(odpychając Doktora)

Jakże Pan z Rollisonem każe decydować?  
Jeżeli on dziś jeszcze... umrze, to?...

SENATOR

Pochować;

I pozwalam, jeżeli zechcesz, balsamować.

A propos balsam, Bajkow! — tobie by się zdało

Trochę balsamu, bo masz takie trupie ciało,

A żenisz się. Czy wiecie, on ma narzeczoną;

(Drzwi z lewej strony odmykają się — Lokaj wchodzi — Senator pokazując drzwi)

Tę panienkę, tam patrzaj, białą i czerwoną.

Fi, pan młody, avec un teint si delabre,

Powinien byś brać ślub twój jak Tyber a Capré.

Nie pojmuję, jak oni mogli pannę zmusić

Pięknymi usteczkami słowo tak wykrztusić.

BAJKOW

Zmusić? — Parions, że ja z mą za rok się rozwiodę

I potem co rok będę brał żoneczki młode;

Bez przymusu; dość spojrzeć na tę lub na ową:

C'est beau małej szlachciance być generałową.

Spytaj księdza, jeżeli zapłacze przy ślubie.

SENATOR

A propos księdza

(do Księdza)

— pójdz no, mój czarny cherubie!

Patrzcie, quelle figure! on ma l'air d'un poete —

Czy ty widziałeś kiedy un regard aussi bete?

Potrzeba go ożywić. — Masz rumu kieliszek.

KS.PIOTR

Nie piję.

SENATOR

No, kapłanie, pij!

KS. PIOTR

Jestem braciszek.

SENATOR

Braciszek czy stryjasek, skądże to Waszeci  
Wiedzieć, co po więzieniach robią cudze dzieci?  
Czy to Waszeć chodziłeś z wieściami do matki?

KS.PIOTR

Ja.

SENATOR

(do Sekretarza)

Zapisz to wyznanie — a oto są świadki.

(do Księdza)

A skądżeś o tym wiedział? he? ptaszek nie lada!  
Spostrzegł się, że notują, i nie odpowiada.  
W jakim klasztorze bractwo twe?

KS. PIOTR

U bernardynów.

SENATOR

A u dominikanów pewnie masz kuzynów?  
Bo u dominikanów ten Rollison siedział.  
No gadajże, skąd ty wiesz, kto. ci to powiedział?  
Słyszysz! — ja tobie każę — nie szepc mi po cichu.  
Ja w imieniu Cesarza każę; słyszysz, mnichu?  
Mnichu! czy ty słyszałeś o ruskim batogu?

(do Sekretarza)

Zapisz, że milczał.

(do Księdza)

Wszak ty służysz Panu Bogu —  
Znasz ty teologiją — słuchaj, teologu.  
Wiesz ty, że wszelka władza od Boga pochodzi,  
Gdy władza każe mówić, milczeć się nie godzi.

(Ksiądz milczy)

A czy wiesz, mnichu, że ja mógłbym cię powiesić,  
I obaczym, czy przeor potrafi cię wskrzesić.

KS. PIOTR

Jeśli kto władzę cierpi, nie mów, że jej słucha;  
Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha.

SENATOR

Jeżeli cię powieszę, a Cesarz się dowie,  
Żem zrobił nieformalnie, a wiesz, co on powie?

"Ej, Senatorze, widzę, że się już ty bisisz".  
A ty, mnichu, tymczasem jak wiesz, tak wiesz.  
Pójdź no bliżej, ostatni raz będę cię badał:  
Wyznaj, kto tobie o tym biciu rozповідаł?  
He? — milczysz — już od Boga ty się nie dowiedział —  
Kto mówił? — co? — Bóg? — anioł? — diabeł?

KS. PIOTR  
Tyś powiedział.

SENATOR  
(obruszony)  
"Tyś"? — mnie mówić: tyś? — tyś, — ha, mnich!

DOKTOR  
Ha, kapcanie!  
Mówi się Panu: Jaśnie Oświecony Panie.  
(do Pelikana)  
Naucz go tam, jak mówić; ten mnich widzę z chlewa.  
Daj mu tak —  
(pokazuje ręką)

PELIKAN  
(daje Księdzu policzek)  
Widzisz, ośle, Senator się gniewa.

KSIĄDZ  
(do Doktora)  
Panie, odpuść mu, Panie; on nie wie, co zrobił!  
Ach, bracie, tą złą radą tyś sam się już dobił.  
Dziś ty staniesz przed Bogiem.

SENATOR  
Co to?

BAJKOW  
On błaznuje.  
Daj mu jeszcze raz w papę, niech nam prorokuje\*  
(daje mu szcztkę)

KS. PIOTR  
Bracie, i ty poszedłeś za jego przykładem!  
Policzone dni twoje, pójdiesz jego śladem.

SENATOR

Hej, posłać po Botwinkę! zatrzymać tu klechę —  
Ja sam będę przy śledztwie, będziem mieć uciechę.  
Obaczym, czy on będzie milczał tak upornie.  
Ktoś go namówił.

DOKTOR

Właśnie przedstawiam pokornie,  
To jest rzecz umówiona, i te wszystkie spiski  
Kieruje, jak wiem pewnie, Księżę Czartoryski.

SENATOR

(schwytuje się z krzesła)  
Que me dites—vous là, mon cher, o księżęciu?  
Impossible —  
(do siebie)  
Kto wie? — e! — śledztwo lat dziesięciu,  
Nim się księżę wyplącze, jeśli ja go splątam.  
(do Doktora)  
Skądże wiesz?

DOKTOR

Dawno, czynnie, sprawą się zaprzątam.

SENATOR

I Pan mnie nie mówiłeś?

DOKTOR

Jaśnie Pan nie słuchał;  
Ja mówiłem, że ktoś to ten pożar rozdmuchał.

SENATOR

Ktoś! ktoś! ale czy księżę?

DOKTOR

Mam ślad oczywisty,  
Mam doniesienia, skargi i przejęte listy.

SENATOR

Listy księcia?

DOKTOR

Przynajmniej jest mowa o księciu  
W tych listach i o całym jego przedsięwzięciu,  
I wielu profesorów — a głównym ogniskiem  
Jest Lelewel. On tajnie kieruje tym spiskiem.

SENATOR

(do siebie)

Ach, gdyby jaki dowód! choćby podejrzenie,  
Ślad dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie!

Nieraz już mi o uszy obija się mowa:

To Czartoryski wyniósł tak Nowosilcowa".

Obaczym teraz, kto z nas będzie mógł się chwalić,  
Czy ten, co umiał wynieść, czy ten, co obalić.

(do Doktora)

Pójdź — que je vous embrasse — a! a! to rzecz inna,

Ja wraz zgadnąłem, że to sprawa nie dziecinna:

Ja wraz zgadnąłem, że to jest księżęcia sztuka.

DOKTOR

(poufale)

I Pan zgadnął? — zje diabła, kto Pana oszuka.

SENATOR

(poważnie)

Choć ja wiem o tym wszystkim, Panie Radco Stanu,

Jeśli odkryć dowody udało się Panu,

Ecoutez, daję Panu senatorskie słowo,

Naprzód pensyję roczną powiększę połową

I tę skargę za dziesięć lat służby policzę,

Potem może starostwo, dobra kanoniczne,

Order — kto wie, nasz Cesarz wspaniale opłaca,

Ja go sam będę prosił, już to moja praca.

DOKTOR

Mnie też to kosztowało niemało zabiegów:

Ze szczupłej mojej płacy opłacałem szpiegów;

A wszystko z gorliwości o dobro Cesarza.

SENATOR

(biorąc go pod rękę)

Mon cher, idź zaraz, weźmij mego sekretarza.

Wziąć te wszystkie papiery i opieczętować;

(do Doktora)

Wieczorem będziemy wszystko razem trutynować.

(do siebie)

Ja pracowałem, śledztwo prowadziłem całe,

A on z tego odkrycia miałby zysk i chwałę!

(zamyśla się)

(do Sekretarza w ucho)

Przyaresztuj Doktora razem z papierami.

(do Bajkowa, który wchodzi)

To ważna sprawa, musim zatrudnić się sami.

Doktor wymknął się z pewnym słówkiem nieumyślnie,

Zbadałem go, a śledztwo ostatek wycisnie.

(Pelikan, widząc względy Senatora, odprowadza Doktora i kłania mu się nisko)

DOKTOR

(do siebie)

Niedawno mię odpychał — ho, ho, Pelikanie!

I ja go zepchnę, i tak, że już nie powstanie.

(do Senatora)

Zaraz wracam.

SENATOR

(niedbale)

O ósmej ja wyjeżdżam z miasta.

DOKTOR

(patrzac na zegarek)

Co to? na mym zegarku godzina dwunasta?

SENATOR

Już piąta.

DOKTOR

Co, już piąta? — ledwie oczom wierzę.

Mój indeks na dwunastej, na samym numerze

Stanął i na dwunastej sam indeksu nosek;

Żeby choć o sekundę ruszył, choć o włoszek!

KS. PIOTR

Bracie, i twój już zegar stanął i nie ruszy

Do drugiego południa. — Bracie, myśl o duszy.

DOKTOR

Czego ty chcesz?

PELIKAN

Proroctwo tobie jakieś burczy.

Patrz, jak mu oczy błyszczą, istny wzrok jaszczurczy!

KS. PIOTR

Bracie, Pan Bóg różnymi znakami ostrzega.



PELIKAN

Ten braciszek coś bardzo wygląda na szpiega —

(Otwierają się drzwi z lewej strony, wchodzi mnóstwo dam wystrojonych, urzędników, gości, — za nimi muzyka)

P. GUBERNATOROWA

Czy można?

P. SOWIETNIKOWA

C'est indigne!

P. JENERAŁOWA

Ah! mon cher Sénateur,

Czekamy, posyłamy!

P. SOWIETNIKOWA

Vraiment, c'est un malheur.

WSZYSTKIE

(razem)

Wreszcie przyszyliśmy szukać.

SENATOR

Cóż to? — jaka gala!

DAMA

I tu możemy tańczyć, dość obszerna sala.

(stają i szykują się do tańca)

SENATOR

Pardon, mille pardons, j'étais tres occupé:

Que vois-je, un menuet? parfaitement groupé!

Cela m'a rappelé les jours de ma jeunesse!

KSIĘŻNA

Ce n'est qu'une surprise.

SENATOR

Est-ce vous, ma déesse!

Que j'aime cette danse, une surprise? ah! dieux!

KSIĘŻNA

Vous danserez, j'espere.

SENATOR

Certes, et de mon mieux.

(Muzyka gra menueta z "Don Juana" — z lewej strony stoja czynownicy, czyli urzędnicy i urzędniczki — z prawej kilku z młodzieży, kilku młodych oficerów rosyjskich, kilku starych ubranych po polsku i kilka młodych dam. — Na środku menuet. SENATOR tańczy z narzeczoną Bajkowa; Bajkow z Księżną).

BAL

SCENA ŚPIEWANA

Z PRAWYJ STRONY

DAMA

Patrz, patrz starego, jak się wije,

Jak sapie, oby skrecił szyję.

(do Senatora)

Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan!

(na stronę)

Il crévera dans l'instant.

MŁODY CZŁOWIEK

Patrz, jak on łasi się i liże,

Wczora mordował, tańczy dziś;

Patrz, patrz, jak on oczyma strzyże,

Skacze jak w klatce ryś.

DAMA

Wczora mordował i katował,

I tyle krwi niewinnej wylał;

Patrz, dzisiaj on pazury schował

I będzie się przymilał.

Z LEWEJ STRONY

KOLESKI REGISTRATOR \*

(do Sowietnika)

Tańczy Senator, czy widzicie,

Ej, Sowietniku, póđźmy w tan.

SOWIETNIK

Uważaj, czy to przyzwicie,

Byś ze mną tańczył Pan.

REGISTRATOR

Ale tu znajdziem kilka dam.

SOWIETNIK

Ale nie o to idzie rzecz;  
Ja sobie wolę tańczyć sam  
Niż z tobą — pódźże precz.

REGISTRATOR  
Skądże to?

SOWIETNIK  
Jestem sowietnikiem.

REGISTRATOR  
Ja jestem oficerski syn.

SOWIETNIK  
Mój Panie, ja nie tańczę z nikim,  
Kto ma tak niski czyn.  
(do Pułkownika)  
Pódź, Pułkowniku, pódźże w taniec,  
Widzisz, że tańczy sam Senator.

PUŁKOWNIK  
Jaki tam gadał oszarpaniec?  
(pokazując Registratora)

SOWIETNIK  
Koleski Regiestrator!

PUŁKOWNIK  
Ta szuja, istne jakubiny!

DAMA  
(do Senatora)  
Jak ślicznie, lekko tańczysz Pan.

SOWIETNIK  
(z gniewem)  
Jak tu pomieszały się czyny!

DAMA  
Il crévera dans l'instant,

LEWA STRONA, CHOREM.

DAMY  
Ah! quelle beauté, quelle grace!

MĘŻCZYŹNI

Jaka to świetność, przepych jaki!

PRAWA STRONA, CHOREM.

MĘŻCZYŹNI

Ach, łotry, szelmy, ach, łajdaki?

Żeby ich piorun trzasł.

SENATOR

(tańcząc, do Gubernatorowej)

Chcę zrobić znajomość Starosty,

On piękną żonę, córkę ma;

Ale zazdrośny —

GUBERNATOR

(biegąc za Senatorem)

To człek prosty;

Niech Pan to na nas zda.

(podchodzi do Starosty)

A żona Pańska?

STAROSTA

W domu siedzi.

GUBERNATOR

A córki?

STAROSTA

Jedną tylko mam.

GUBERNATOROWA

I córka balu nie odwiedzi?

STAROSTA

Nie!

GUBERNATOROWA

Pan tu sam?

STAROSTA

Ja sam.

GUBERNATOR

I żona nie zna Senatora?

STAROSTA

Dla siebie tylko żonę mam.

GUBERNATOROWA

Chciałam wziąć córkę Pańską wczora.

STAROSTA

Usłużność Pani znam.

GUBERNATOR

Tu w menuecie para zbywa,  
Senator potrzebuje dam.

STAROSTA

Moja córka w parach nie bywa,  
Jej parę znajdę sam.

GUBERNATOROWA

Mówiono, że tańczy i grywa,  
Senator chciał zaprosić sam.

STAROSTA

Widzę, że pan Senator wzywa  
Na raz po kilka dam.

LEWA STRONA, CHOREM.

Jaka muzyka, jaki śpiew,  
Jak pięknie meblowany dóm.

PRAWA STRONA, CHOREM.

Te szelmy z rana piją krew,  
A po obiedzie rum.

SOWIETNIK

(pokazując Senatora)

Drze ich, to prawda, lecz zaprasza,  
Takiemu dać się drzeć nie żal.

STAROSTA

Po turmach siedzi młodzież nasza,  
Nam każą iść na bal. \*

OFICER ROSYJSKI

(do Bestużewa)

Nie dziw, że nas tu przeklinają,  
Wszak to już mija wiek,  
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają  
Samych łajdaków stek.

STUDENT

(do Oficera)

Patrz, jak się Bajkow, Bajkow rucha,  
Co to za mina, co za ruch!  
Skacze jak po śmieciach ropucha,  
Patrz, patrz, jak nadął brzuch.  
Wyszczrzył zęby, nazbyt łyknął,  
Patrz, jak otwiera gębę on,  
Słuchaj, ach, słuchaj, Bajkow ryknął.  
(Bajkow nuci)  
(do Bajkowa)  
Mon Général, quelle chanson!

BAJKOW

(śpiewa pieśń Beranżera)

Quel honneur, quel bonheur!  
Ah! monsieur le sénateur!  
Je suis votre humble serviteur, etc. etc.

STUDENT

Général, ce sont vos paroles!

BAJKOW

Oui.

STUDENT

Je vous en fais compliment.

JEDEN Z OFICERÓW

(śmiejąc się)

Ces couplets sont vraiment fort drols,  
Quel ton satirique et plaisant!

MŁODY CZŁOWIEK

Pour votre muse sans rivale  
Je vous ferais académicien.

BAJKOW

(w ucho, — pokazując Księżnę)  
Senator dziś będzie rogal.

SENATOR  
(w ucho, pokazując narzeczoną Bajkową)  
Va, va, je te coifferai bien.

PANNA  
(tańcząca, do Matki)  
Nazbyt ohydni, nazbyt starzy.

MATKA  
(z prawej strony)  
Jeśli ci zbrzydnął, to go rzuć.

SOWIETNIKOWA  
(z lewej strony)  
Jak mojej córeczce do twarzy.

STAROSTA  
Jak od nich rumem czuć.

SOWIETNIKOWA DRUGA  
(do córki stojącej obok)  
Tylko, Zosieńku, podnieś wzrok.  
Może Senator cię obaczy.

STAROSTA  
Jeżeli o mnie się zahaczy,  
Dam rękojeścią  
(biorąc za karabelę)  
— w bok.

LEWA STRONA, CHÓREM.

Ach, jaka świetność, przepych jaki!  
Ah, quelle beauté, quelle grace!

PRAWA STRONA

Ach, szelmy, łotry, ach, łajdaki!  
Żeby ich piorun trzasł.

Z PRAWY STRONY MIĘDZY MŁODZIEŻĄ  
JUSTYN POL

(do Bestużewa, pokazując na Senatora)  
Chcę mu szczyryk mój w brzuch wsadzić  
Lub zamalować wypsk.

BESTUŻEW

Cóż stąd, jednego łotra zgładzić  
Lub obić, co za zysk?  
Oni wyszukają przyczyny,  
By uniwersytety znieść,  
Krzyknąć, że uczenie jakubiny,  
I waszą młodzież zjeść.

JUSTYN POL

Lecz on zapłaci za męczarnie,  
Za tyle krwi i łez.

BESTUŻEW

Cesarz ma u nas liczne psiarnie,  
Cóż, że ten zdechnie pies.

POL

Nóż świerzbi w ręku, pozwól ubić.

BESTUŻEW

Ostrzegam jeszcze raz!

POL

Pozwól przynajmniej go wyczubić.

BESTUŻEW

A zgubić wszystkich was.

POL

Ach, szelmy, łotry, ach, zbrodniarze!

BESTUŻEW

Muszę cię wywieść za próg.

POL

Czyż go to za nas nikt nie skarże?  
Nikt się nie pomści?  
(odchodzą ku drzwiom)

KS. PIOTR

— Bóg!



(Nagle muzyka się zmienia i gra arię Komandora)

TAŃCZĄCY

Co to jest? — co to?

GOŚCIE

Jaka muzyka ponura!

JEDEN

(patrzac w okna)

Jak ciemno, patrz no, jaka zebrała się chmura.

(zamyka okno — słysząc z dala grzmot)

SENATOR

Cóż to? Czemu nie grają?

DYREKTOR MUZYKI

Zmylili się.

SENATOR

Pałki!

DYREKTOR

Bo to miano grać różne z opery kawałki,

Oni nie zrozumieli, i stąd zamieszanie.

SENATOR

No, no, no — arrangez donc — no, Panowie — Panie.

(Słysząc krzyk wielki za drzwiami)

PANI ROLLISON

(za drzwiami, okropnym głosem)

Puszczaj mię! puszczaj...

SEKRETARZ

Ślepa!

LOKAJ

(strwożony)

Widzi — patrz, jak sady

Po schodach, zatrzymajcie!

DRUDZY LOKAJE

Kto jej co poradzi!

PANI ROLLISON

Ja go znajdę tu, tego pijaka, tyrana!

LOKAJ

(chce zatrzymać — ona obala jednego z nich)

A! patrz, jak obaliła — a! a! opętana.

(uciekają)

PANI ROLLISON

Gdzie ty! — znajdę cię, mozgi na bruku rozbiję —

Jak mój syn! Ha, tyranie! syn mój, syn nie żyje!

Wyrzucili go oknem — czy ty masz sumnienie?

Syna mego tam z góry, na bruk, na kamienie.

Ha, ty pijaku stary, zbryzgany krwią tyłu

Niewiniątek, pójdź! — gdzie ty, gdzie ty, krokodylu?

Ja ciebie tu rozedrę, jak mój Jaś, na sztuki. —

Syn! wyrzucili z okna, z klasztoru, na bruki.

Me dziecię, mój jedynak! mój ojciec—żywiciel—

A ten żyje, i Pan Bóg jest, i jest Zbawiciel!

KS. PIOTR

Nie bluźń, kobieto; syn twój zraniony, lecz żyje.

PANI ROLLISON

Żyje? syn żyje? — czyje to są słowa, czyje?

Czy to prawda, mój Księżę? — Ja. zaraz pobiegłam —

"Spadł" krzyczą, biegnę, wzięli — i zwłok nie dostrzegłam:

Zwłok mego jedynaka. — Ja biedna sierota!

Zwłok syna nie widziałam. Widzisz — ta ślepotą!

Lecz krew na bruku czułam — przez Boga żywego

Tu czuję — krew tę samą, tu krew syna mego,

Tu jest ktoś krwią zbryzgany — tu, tu jest kat jego!

(Idzie prosto do Senatora — Senator umyka się — Pani Rollison pada zemdlona na ziemię — Ks. Piotr podchodzi do niej ze Starostą — słysząc uderzenie piorunu)

WSZYSCY

(złęknieni)

Słowo stało się ciałem! — To tu!

INNI

Tu! tu!

KS. PIOTR

Nie tu.

JEDEN

(patrząc w okno)

Jak blisko — w sam róg domu uniwersytetu.

SENATOR

(podchodzi do okna)

Okna Doktora!

KTOŚ Z WIDZÓW

Słyszysz w domu krzyk kobiety?

KTOŚ NA ULICY

(śmiejąc się)

Cha — cha — cha — diabli wzięli.

(Pelikan wbiega zmieszany)

SENATOR

Nasz Doktor?

PELIKAN

— zabity

Od piorunu. Fenomen ten godzien rozbiorów:

Okolo domu stało dziesięć konduktorów,

A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,

Nic nie zepsuł i tylko ruble srebrne stopił,

Srebro leżało w biurku, tuż u głów Doktora,

I zapewne służyło dziś za konduktora.

STAROSTA

Ruble rosyjskie, widzę, bardzo niebezpieczne.

SENATOR

(do dam)

Panie zmieszały taniec — jak Panie niegrzeczne.

(widząc, że ratują Panią Rollison)

Wynieście ją, wynieście — pomoc tej kobiecie.

Wynieście ją.

KS. PIOTR

Do syna?

SENATOR

Wynieście, gdzie chcecie.

KS. PIOTR

Syn jej jeszcze nie umarł, on jeszcze oddycha,  
Pozwól mnie iść do niego.

SENATOR

Idź, gdzie chcesz, do licha!

(do siebie)

Doktor zabity, ah! ah! ah! c'est inconcevable!

Ten ksiądz mu przepowiedział — ah! ah! ah! c'est diable!

(do kompanii)

No i cóż w tym strasznego? — wiosną idą chmury,  
Z chmury piorun wypada: — taki bieg natury.

SOWIETNIKOWA

(do męża)

Już gadajcie, co chcecie, a strach zawsze strachem.  
Ja nie chcę dłużej z wami być pod jednym dachem?  
Mówiłam: mężu, nie leż do tych spraw dziecinnych;  
Pókiś knutował Żydów, chociaż i niewinnych,  
Milczałam — ale dzieci; — a widzisz Doktora?

SOWIETNIK

Głupia jesteś.

SOWIETNIKOWA

Do domu wracam, jestem chora.

(Słychać znowu grzmot — wszyscy uciekają; naprzód lewa, potem prawa strona. — Zostają Senator,  
Pelikan, Ks. Piotr)

SENATOR

(patrząc za uciekającymi)

Przeklęty Doktor! żyjąc nudził mię do mdłości,  
A jak zdechł, patrzaj, jeszcze rozpędza mi gości.

(do Pelikana)

Voyez, jak ten Ksiądz patrzy — voyez, quel oeil hagard;

To jest dziwny przypadek, un singulier hasard.

Powiedz no, mój księżuniu, czy znasz jakie czary,  
Skąd przewidziałeś piorun? — może Boskie kary?

(Ksiądz milczy)

Prawdę mówiąc, ten Doktor troszeczkę przewinił,

Prawdę mówiąc, ten Doktor nad powinność czynił.

On aurait fort a dire — kto wie, są przestrogi —

Mój Boże, czemu prostej nie trzymać się drogi!

No i cóż, Księżę? — milczy!... milczy i zwiesił nos.  
Ale go puszczyć wolno: — on dirait bien des choses!...  
(zamyśla się)

PELIKAN

Cha! cha! cha! jeśli śledztwo jest niebezpieczeństwem,  
Toć by nas przecie piorun zaszczycił pierwszeństwem.

KS.PIOTR

Opowiem wam dwie dawne, ale pełne treści...

SENATOR

(ciekawym)

O piorunie? — Doktorze? — mów!

KS. PIOTR

— dwie przypowieści.

Onego czasu w upał przyszli ludzie różni  
Zasnąć pod cieniem muru; byli to podróżni.  
Między nimi był zbójca; a gdy inni spali,  
Anioł Pański zbudził go: "Wstań, bo mur się wali".  
On zbójca był ze wszystkich innych najzłośliwszy:  
Wstał, a mur inne pobił. On ręce złożywszy  
Bogu dziękował, że mu ocalono zdrowie.  
A Pański anioł stanął przed nim i tak powie:  
"Ty najwięcej zgrzeszyłeś! kary nie wyminiesz,  
Lecz ostatni najgłośniej, najhaniebniej zginiesz".  
A druga powieść taka. — Za czasu dawnego.  
Pewny wódz rzymski pobił króla potężnego;  
I kazał na śmierć zabić wszystkie niewolniki,  
Wszystkie rotmistrze pułków i wszystkie setniki.  
Ale króla samego przy życiu zostawił,  
Tudzież starosty, tudzież pułkownicy zbawił. —  
I mówili do siebie głupi więźnie owi:  
"Będziem żyć, podziękujmy za życie wodzowi".  
Aż jeden żołnierz rzymski, co im postugował,  
Rzekł im: "Zaprawdę wódz was przy życiu zachował;  
Bo was przykuje przy swym tryumfalnym wozie  
I będzie oprowadzał po całym obozie,  
I do miasta powiedzie; bo wy z tych jesteście,  
Których wodzą po Rzymie, onym sławnym mieście,  
Aby lud rzymski krzyknął: "Patrzcie, co wódz zrobił,  
On takie króle, takie pułkownicy pobił."  
Potem, gdy was w łańcuchach złotych oprowadzi,  
Odda was w ręce kata, a kat was osadzi

Na głębokie, podziemne i ciemne wygnanie,  
Kędy będzie płacz wieczny i zębów zgrzytanie".  
Tak mówił żołnierz rzymski; do żołnierza tego  
Król gromiąc rzekł: "Twe słowa są słowa głupiego,  
Czyś ty kiedy na ucztach z twoim wodzem siedział,  
Ażebyś jego rady, jego myśli wiedział?"  
Zgromiwszy, pił i śmiał się z swymi współwięźniami,  
Ze swymi hetmanami i pułkownikami.

SENATOR

(znudzony)

Il bat la campagne... Księżę, gdzie chcesz, ruszaj sobie.  
Jeśli cię jeszcze złowię, tak skórę oskrobie,  
Że cię potem nie pozna twa matka rodzona  
I będziesz mi wyglądał jak syn Rollisona.

(Senator odchodzi do swoich pokojów z Pelikanem. Ks. Piotr idzie ku drzwiom i spotyka Konrada, który, prowadzony na śledztwo od dwóch żołnierzy, ujrawszy Księdza wstrzymuje się i patrzy nań długo)

KONRAD

Dziwna rzecz, nie widziałem nigdy tej postaci,  
A znam go, jak jednego z mych rodzonych braci.  
Czy to we śnie? — tak, we śnie, teraz przypomniałem,  
Taż sama twarz, te oczy, we śnie go widziałem.  
On to, zdało się, że mię wyrwał z otchłani.  
(do Księdza)  
Mój Księżę, choć jesteśmy mało sobie znani,  
Przynajmniej Książdz mię nie znasz: przyjmij dziękczynienie  
Za łaskę, którą tylko zna moje sumnienie.  
Drodzy są i widziani we śnie przyjaciele,  
Gdy prawdziwych na jawie widzimy tak niewiele.  
Weź, proszę, ten pierścionek, sprzedaj; daj połowę  
Ubogim, drugą na mszę za dusze czyścicowe;  
Wiem, co cierpią, jeżeli czyścic jest niewolą;  
Mnie, kto wie, czy już kiedy służyć mszy pozwolą.

KS. PIOTR

Pozwolą — Za pierścionek ja ci dam przestrozę.  
Ty pojedziesz w daleką, nieznaną drogę;  
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,  
Szukaj męża, co więcej niżli oni umie;  
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże.  
Słuchaj, co powie...

KONRAD

(wpatrując się)

Coż to? tyżeś?... czy być może?

Stój na chwilę... dla Boga...

KS. PIOTR

Bywaj zdrow! nie mogę.

KONRAD

Jedno słowo...

ŻOŁNIERZ

Nie wolno! każdy w swoją drogę. —

## SCENA IX

NOC DZIADÓW

OPODAL WIDAĆ KAPLICĘ — SMĘTARZ — GUŚLARZ I KOBIETA W ŻAŁOBIE

GUŚLARZ

Już idą w cerkiew gromady  
I wkrótce zaczną się Dziady,  
Iść nam pora, już noc głucha.

KOBIETA

Ja tam nie pójdę, Guślarzu,  
Ja chcę zostać na smętarni,  
Chcę jednego widzieć ducha:  
Tego, co przed laty wielu  
Zjawił się po mym weselu,  
Co pośród duchów gromady  
Stanął nagle krwawy, blady,  
I mnie dzikim okiem łowił,  
I ani słowa nie mówił.

GUŚLARZ

On żył może, gdym go badał,  
Dlatego nie odpowiadał.  
Bo na duchów zgromadzenie,  
W tajemniczą noc na Dziady,  
Można wzywać żywych cienie.  
Ciała będą u biesiady  
Albo u gry, albo w boju,  
I zostaną tam w pokoju;  
Dusza zwana po imieniu  
Objawia się w lekkim cieniu;  
Lecz póki żyje, ust nie ma,  
Stoi biała, głucha, niema.

KOBIETA

Coż znaczyła w piersiach rana?

GUŚLARZ

Widać, że w duszę zadana.

KOBIETA

Ja tu sama zgubię drogę.



## GUŚLARZ

Ja tu z tobą zostać mogę.  
Tam beze mnie zrobią czary,  
Jest tam inny guślarz stary. —  
Czy słyszysz te śpiewy w dali?  
Już się tam ludzie zebrali.  
Pierwszą klątwę już zakleli,  
Klątwę wianka i kądzieli,  
Wezwali powietrznych duchów.  
Widzisz tych świateł tysiące,  
Jakby gwiazdy spadające?  
Ten ognistych ciąg łańcuchów?  
To powietrznych roje duchów.  
Patrz, już nad kaplicą świecą  
Pod czarnym niebios obszarem,  
Jak gołębie, kiedy lecą  
W nocy nad miasta pożarem,  
Odbijając żar ogniska,  
Ptastwo jak stado gwiazd błyska.

## KOBIETA

On nie będzie z tymi duchy!

## GUŚLARZ

Widzisz, blask z kaplicy bucha,  
Teraz klęli ognia władzę;  
Ciała w mocy złego ducha  
Z pustyń, z mogił wyprowadzą.  
Tędy będą ciągnąć duchy.  
Poznasz go, jeśli pamiętasz,  
Ukryj się ze mną w dąb suchy,  
W ten dąb suchy i wygniły,  
Tu się niegdyś wróżki kryły.  
Już rusza się cały smętarz,  
Rozwierają się mogiły,  
Wybuchnął płomyk niebieski;  
Podskakują w górę deski,  
Wysuwają potępieńce  
Blade głowy, długie ręce;  
Widzisz oczy jak żarzewie,  
Schowaj oczy, skryj się w drzewie.  
Upiór z dala wzrokiem piecze,  
Lecz guślarza nie urzeczce.  
Ha!

KOBIETA

Co widzisz?

GUŚLARZ

Trup to świeży!

W nie zgniłej jeszcze odzieży.

Dymem siarki trąci wkoło,

Czarne ma jak węgiel czoło.

Zamiast oczu — w jamach czaszki

Żarzą się dwie złote blaszki,

A w środku każdego kółka

Siedzi diablik, jak w źrenicy,

I wywraca wciąż koziołka,

Miga lotem błyskawicy.

Trup tu bieży, zębem zgrzyta,

Z ręki przelewa do ręki,

Jak gdyby z sita do sita,

Wrzące srebro — słyszysz jęki?

WIDMO

Gdzie kościół? — gdzie kościół? gdzie Boga lud chwali?

Gdzie kościół, ach, pokaż, człowiecze.

Ach, widzisz, jak we łbie ten dukat mię pali,

Jak srebro stopione dłoń piecze.

Ach, wylej, człowieku, dla biednej sieroty,

Dla więźnia jakiego, dla wdowy,

Ach, wylej mi z ręki żar srebrny i złoty,

I dukat ten wyłup mi z głowy.

Ty nie chcesz! ha, kruszec przelewać ja muszę,

Aż kiedyś ten dzieci pozerca

Wyzionie łakomą, bezdenną swą duszę,

Ten kruszec mu wleję do serca.

A potem przez oczy, przez uszy wyleję

I znowu tym wleję korytem,

I będę tym trupem obracać jak sitem,

Naleję, wyleję, przesieję!

Ach, kiedyż przez niego ten kruszec przesieję!

Ach, czekać tak długo! — goreję! goreję!

(ucieka)

GUŚLARZ

Ha! —

KOBIETA

Co widzisz?

## GUŚLARZ

Ha, jak blisko!

Drugi wylazł, ku nam bieży.

Jakie obrzydłe trupisko!

Blade, tłuste, trup to świeży,

I strój świeży ma na ciele,

Ubrany jak na wesele;

I gad niedawno go toczy,

Ledwie mu wpół wygrzył oczy.

Od kaplicy w stronę skoczył,

Czart go uwiódł, czart zamrocył,

Nie puści go do kaplicy.

Czart przybrał postać dziewicy;

I na trupa rączką kiwa,

Okiem mruga, śmiechem wzywa;

Skacze ku niej trup zwiedziony,

Z grobu na grób, jak szalony.

I rękami, i nogami

Wije, jak wiatrak skrzydłami,

Już pada do jej uścisków;

Wtem spod nóg jego wytryska

Dziesięć długich, czarnych pysków;

Wyskakują czarne psiska,

Od nóg lubej go porwały

I targają na kawały,

Członki krwawym pyskiem trzęsą,

Po polu roznoszą mięso.

Psy zniknęły. — Nowe dziwo,

Każda część trupa jest żywą:

Wszystkie jak oddzielne trupy

Biegą zebrać się do kupy.

Głowa skacze jak ropucha

I nozdrzami ogień bucha;

Czołgają się piersi trupa

Jak wielka żółwia skorupa —

Już zrosła się głowa z ciałem,

Jak krokodyl bieży cwałem.

Oderwanej ręki palce

Drżą, wiją się jak padalce;

Dłoń za piasek chwyta, grzebie,

I ciągnie rękę pod siebie,

I nogi się przyczołgały,

I znowu trup wstaje cały.

Znowu wabi ulubiona,

Znowu pada w jej ramiona,  
Znowu go porwały czarty,  
I znowu w sztuki rozdarty —  
Ha! niech go więcej nie widzę!

KOBIETA

Tak się boisz?

GUŚLARZ

Tak się brzydę!  
Żółwie, padalce, ropuchy:  
W jednym trupie tyle gadów!

KOBIETA

On nie będzie z tymi duchy!

GUŚLARZ

Wkrótce, wkrótce koniec Dziadów.  
Słyszysz — trzeci kur już pieje;  
Tam śpiewają ojców dzieje,  
I rozchodzą się gromady.

KOBIETA

I nie przyszedł on na Dziady!

GUŚLARZ

Jeśli duch ten jeszcze w ciele,  
Wymów teraz jego imię,  
Ja na czarodziejskie ziele  
W tajemniczym zaklnę rymie;  
I duch ciało swe zostawi,  
I przed tobą się objawi.

KOBIETA

Wymówiłam —

GUŚLARZ

On nie słucha —  
Ja zakląłem.

KOBIETA

Nie ma ducha!

GUŚLARZ

O kobieto! twój kochanek

Albo zmienił ojców wiarę,  
Albo zmienił imię stare.  
Widzisz, już zbliża się ranek,  
Gusta nasze moc straciły,  
Nie pokaże się twój miły.  
(Wychodzą z drzewa)  
Cóż to? cóż to! — patrz: z zachodu,  
Tam od Giedymina grodu,  
Śród gęstych kłębów zamieci  
Kilkadziesiąt wozów leci,  
Wszystkie lecą ku północy,  
Lecą ile w koniach mocy.  
Widzisz, jeden tam na przedzie.  
W czarnym stroju —

KOBIETA

On!

GUŚLARZ

Tu jedzie.

KOBIETA

I znowu nazad zawrócił,  
I tylko raz okiem rzucił,  
Ach, raz tylko! — jakie oko!

GUŚLARZ

Pierś miał zbroczoną posoką,  
Bo w tej piersi jest ran wiele:  
Straszne cierpi on katusze,  
Tysiąc mieczów miał on w ciele,  
A wszystkie przeszły — aż w duszę.  
Śmierć go chyba z ran uleczy.

KOBIETA

Któż weń wraził tyle mieczy?

GUŚLARZ

Narodu nieprzyjaciele.

KOBIETA

Jedną ranę miał na czole,  
Jedną tylko i niewielką,  
Zda się być czarną kropelką.

GUŚLARZ

Ta największe sprawia bole;  
Jam ją widział, jam ją zbadał;  
Tę ranę sam sobie zadał,  
Śmierć z niej uleczyć nie może.

KOBIETA

Ach, ulecz go, wielki Boże!

Koniec aktu pierwszego

# USTĘP

## DROGA DO ROSJI

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie  
Leci kibitka jako wiatr w pustynie;  
I oczy moje jako dwa sokoły  
Nad oceanem nieprzejrzanym krążą,  
Porwane burzą, do lądu nie zdążą,  
A widzą obce pod sobą żywioły,  
Nie mają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,  
W dół patrzą, czując, że tam muszą zginąć.

Oko nie spotka ni miasta, ni góry,  
Żadnych pomników ludzi ni natury;  
Ziemia tak pusta, tak nie zaludniona,  
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.  
A przecież nieraz mamut z tych ziem wstaje,  
Żeglarz przybyły z falami potopu,  
I mową obcą moskiewskiemu chłopu  
Głosi, że dawno stworzone te kraje  
I w czasach wielkiej Noego żeglugi  
Ląd ten handlował z azyjskimi smugi;  
A przecież nieraz książka ukradziona  
Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu,  
Mówi, że ziemia ta nie zaludniona  
Już niejednego jest matką narodu.  
Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyzny,  
Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,  
I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,  
Nie zostawiwszy siadów swego życia;  
I gdzieś daleko na alpejskiej skale  
Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,  
I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach,  
O stąd przybyłych mówią rozbojnikach.

Kraina pusta, biała i otwarta  
Jak zgotowana do pisania karta.  
Czyż na niej pisać będzie palec Boski,  
I ludzi dobrych używszy za głoski,  
Czyliż tu skryśli prawdę świętej wiary,  
Ze miłość rządzi plemieniem człowieczem,  
Że trofeami świata są: ofiary?  
Czyli też Boga nieprzyjaciel stary

Przyjdzie i w księdze tej wyrzyje mieczem,  
Że ród człowieczy ma być w więzy kuty,  
Że trofeami ludzkości są: knuty?

Po polach białych, pustych wiatr szaleje,  
Bryły zamieci odrywa i ciska,  
Lecz morze śniegów wzdęte nie czernieje,  
Wyzwane wichrem powstaje z łożyska  
I znowu, jakby nagle skamieniałe,  
Pada ogromne, jednostajne, białe.  
Czasem ogromny huragan wylata  
Prosto z biegunów; niewstrzymany w biegu  
Aż do Euxinu równinę zamiata,  
Po całej drodze miecąc chmury śniegu;  
Często podróżne kibitki zakopie,  
Jak symuni błędnych Libów przy Kanopie.  
Powierzchnię białych, jednostajnych śniegów  
Gdzieniegdzie ściany czarniawe przebodły  
I sterczą na kształt wysp i łądu brzegów:  
To są północne świerki, sosny, jodły.

Gdzieniegdzie drzewa siekierą zрубane,  
Odarte i w stos złożone poziomy,  
Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę,  
I ludzi kryją, i zowią się: domy.  
Dalej tych stosów rzucone tysiące  
Na wielkim polu, wszystkie jednej miary:  
Jak kitki czapek dmą z kominów pary,  
Jak ładownice okienka błyszczące;  
Tam domy rzędem szykowane w pary,  
Tam czworobokiem, tam kształtnym obwodem;  
I taki domów pułk zowie się: grodem.

Spotykam ludzi — z rozrosłymi barki,  
Z piersią szeroką, z otyłymi karki;  
Jako zwierzęta i drzewa północy  
Pełni czerstwości i zdrowia, i mocy.  
Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,  
Pusta, otwarta i dzika równina;  
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych,  
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do twarzy,  
Ani się w ustach rozognionych żarzy,  
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych —  
Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,  
Przez które przeszło tyle po kolei



Podaj i zdarzeń, żalów i nadziei,  
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.  
Tu oczy ludzi, jak miasta tej ziemi,  
Wielkie i czyste — i nigdy zgiełk duszy  
Niezwyczajnym rzutem źrenic nie poruszy,  
Nigdy ich długa żałość nie zaciemi;  
Z daleka patrząc — wspaniałe, przecudne,  
Wszedłszy do środka — puste i bezludne.  
Ciało tych ludzi jak gruba tkanica,  
W której zimuje dusza gąsiennica,  
Nim sobie piersi do lotu wyrobi,  
Skrzydła wyprzedzić, wytcze i ozdobi;  
Ale gdy słońce wolności zaświeci,  
Jakież z powłoki tej owad wyleci?  
Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,  
Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemię?

Na wskroś pustyni krzyżują się drogi:  
Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,  
Nie wydeptały ich karawan nogi;  
Car ze stolicy palcem je nakryślił.  
Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,  
Jeżeli trafił w polskich zamków ściany,  
Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany  
I car ruiny ich zasypał — drogą.  
Drog tych nie dojrzeć w polu między śniegi,  
Ale wśród puszczy dośledzi je oko:  
Proste i długie na północ się wloką,  
Świecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.

I po tych drogach któż jeździ? — Tu cwałem  
Konnica wali przyprószona śniegiem,  
A stamtąd czarnym piechota szeregiem  
Między dział, wozów i kibitek waleń.  
Te pułki podług carskiego ukazu  
Ciągną ze wschodu, by walczyć z północą;  
Tamte z północy idą do Kaukazu;  
Żaden z nich nie wie, gdzie idzie i po co;  
Żaden nie pyta. Tu widzisz Mogoła  
Z nabrzmałym licem, małym, krzywym okiem;  
A tam chłop biedny z litewskiego sioła,  
Wybladły, tęskny, idzie chorym krokiem.  
Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki  
I zmarzłą niosą ciężką Kałmuki.  
Ich oficery? — Tu Niemiec w karcie,

Nucąc Szyllera pieśń sentymentalną,  
Wali spotkanych żołnierzy po grzbiecie.  
Tam Francuz gwizdząc w nos pieśń liberalną,  
Błądny filozof, karyjery szuka  
I gada teraz z dowódcą Kałmuka,  
Jak by najtaniej wojsku żywność kupić.  
Cóż, że połowę wymorzą tej zgrai,  
Kasy połowę będą mogli złupić,  
I jeśli zręcznie dzieło się utai,  
Minister wzniesie ich do wyższej klasy,  
A car da order za oszczędność kasy.

A wtem kibitka leci — przednie strażę  
I dział lawety, i chorych obozy  
Pryskają z drogi, kędy się ukaże,  
Nawet dowódców ustępują wozy.  
Leci kibitka; żandarm powoźnika  
Wali kułakiem, powoźnik żołnierzy  
Wali biczyskiem, wszystko z drogi zmyka,  
Kto się nie umknął, kibitka nań wbieży.  
Gdzie? — Kto w niej jedzie? — Nikt nie śmie zapytać.  
Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy,  
Zapewne cesarz kazał kogoś schwytać.  
"Może ten żandarm jedzie z zagranicy? —  
Mówi generał. — Kto wie, kogo złowił:  
Może król pruski, francuski lub saski,  
Lub inny Niemiec wypadł z cara łaski,  
I car go w turmie zamknąć postanowił;  
Może ważniejsza pochwycona głowa,  
Może samego wiozą Jermołowa \*.  
Kto wie! ten więzień, chociaż w słomie siedzi,  
Jak dziko patrzy! jaki to wzrok dumy:  
Wielka osoba; za nim wozów tłumy:  
To pewnie orszak nadwornej gawiedzi;  
A wszyscy, patrz no, jakie oczy śmiałe;  
Myślałem, że to pierwsze carstwa pany,  
Że generały albo szambelany,  
Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe.  
Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?  
Jakiegoś króla podejrzone dzieci".  
Tak z sobą cicho dowódcy gadali;  
Kibitka prosto do stolicy wali.

PRZEDMIEŚCIA STOLICY

Z dala, już z dala widno, że stolica.  
Po obu stronach wielkiej, pysznej drogi  
Rzędy pałaców. — Tu niby kaplica  
Z kopułą, z krzyżem; tam jak siana stogi  
Posągi stoją pod słomą i śniegiem;  
Owdzie, za kolumn korynckich szeregiem,  
Gmach z płaskim dachem, pałac letni, włoski,  
Obok japońskie, mandaryńskie kioski  
Albo z klasycznych czasów Katarzyny  
Świeżo małpione klasyczne ruiny.  
Różnych porządków, różnych kształtów domy,  
Jako zwierzęta z różnych końców ziemi,  
Za parkanami stoją żelaznemi,  
W osobnych klatkach. — Jeden niewidomy:  
Pałac krajowej ich architektury,  
Wymyśl ich głowy, dziecko ich natury.  
Jakże tych gmachów cudowna robota!  
Tyle kamieni na kępach wśród błota!  
W Rzymie, by dźwignąć teatr dla cesarów,  
Musiano niegdyś wylać rzekę złota \*;  
Na tym przedmieściu podłe sługi carów,  
By swe rozkoszne zamtuzy dźwignęli,  
Ocean naszej krwi i też wyleli.

Żeby zwieźć głazy do tych obelisków,  
Ileż wymyślić trzeba było spisków,  
Ilu niewinnych wygnać albo zabić,  
Ile ziem naszych okraść i zagrabić;  
Póki krwią Litwy, łzami Ukrainy  
I złotem Polski hojnie zakupiono  
Wszystko, co mają Paryże, Londyny,  
I po modnemu gmachy wystrojono,  
Szampanem zmyto podłogi bufetów  
I wydeptano krokiem menuetów.

Teraz tu pusto. — Dwór w mieście zimuje,  
I dworskie muchy, ciągnące za wonią  
Carskiego ścierwa, za nim w miasto gonią.  
Teraz w tych gmachach wiatr tylko tańczy;  
Panowie w mieście, car w mieście. — Do miasta  
Leci kibitka; zimno, śnieżno było;  
Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,  
A słońce już się na zachód chyliło \*.  
Niebios sklepienie otwarte szeroko,

Bez żadnej chmurki, czcze, ciche i czyste,  
Bez żadnej barwy, blado przezroczyste,  
Jako zmarzłego podróżnika oko.

Przed nami miasto. — Nad miastem do góry  
Wznoszą się dziwnie, jak podniebne grody,  
Słupy i ściany, krużganki i mury,  
Jak babilońskie wiszące ogrody:  
To dymy z dwiestu tysięcy kominów  
Prosto i gęsto kolumnami lecą,  
Te jak marmury kararyjskie świecą,  
Tamte się żarzą iskrami rubinów;  
W górze wierzchołki zginają i łączą,  
Kręcą w krużganki i łukami płaczą,  
I ścian, i dachów malują widziadła;  
Jak owe miasto, co nagle powstanie  
Ze śródziemnego czystych wód zwierciadła  
Lub na libijskim wybuchnie tumanie,  
I wabi oko podróżnych z daleka,  
I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka \*.

Już zdjęto łańcuch, bramy otwierają,  
Trzęsą, badają, pytają — wpuszczają.

## PETERSBURG

Za dawnych greckich i italskich czasów  
Lud się budował pod przybytkiem Boga,  
Nad źródłem nimfy, pośród świętych lasów,  
Albo na górach chronił się od wroga.  
Tak zbudowano Ateny, Rzym, Spartę.  
W wieku gotyckim pod wieżą barona,  
Gdzie była cała okolic obrona,  
Stawały chaty do wałów przyparte;  
Albo pilnując splotawej rzeki cieków  
Rosły powoli z postępami wieków.  
Wszystkie te miasta jakieś bóstwo wzniosło,  
Jakiś obrońca lub jakieś rzemiosło.

Ruskiej stolicy jakież są początki?  
Skąd się zachciało sławiańskim tysiącom  
Leżać w te ostatnie swoich dzierzaw kątki  
Wydarte świeżo morzu i Czuchońcom \*?  
Tu grunt nie daje owoców ni chleba,

Wiatry przynoszą tylko śnieg i słoty;  
Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,  
Srogie i zmienne jak humor despoty.  
Nie chcieli ludzie — błotne okolice  
Car upodobał, i stawić rozkazał  
Nie miasto ludziom, lecz sobie stolicę:  
Car tu wszechmocność woli swej pokazał. —

W głąb ciekłych piasków i błotnych zatopów  
Rozkazał wpędzić sto tysięcy palów  
I wdeptać ciała stu tysięcy chłopów.  
Potem na palach i ciałach Moskalów  
Grunt założywszy, inne pokolenia  
Zaprzął do taczek, do wozów, okrętów,  
Sprowadzać drzewa i sztuki kamienia  
Z dalekich lądów i z morskich odmętów \*.

Przypomniał Paryż — wnet paryskie place  
Kazał budować. Widział Amsterdamy —  
Wnet wodę wpuścił i porobił tamy.  
Słyszał, że w Rzymie są wielkie pałace —  
Pałace stają. Wenecka stolica,  
Co wpół na ziemi, a do pasa w wodzie  
Pływa jak piękna syrena-dziewica,  
Uderza cara — i zaraz w swym grodzie  
Porznął błotniste kanałami pole,  
Zawiesił mosty i puścił gondole.  
Ma Wenecyją, Paryż, Londyn drugi,  
Prócz ich piękności, poloru, żeglugi.  
U architektów sławne jest przysłowie,  
Że ludzi ręką był Rzym budowany,  
A Wenecyją stawili bogowie;  
Ale kto widział Petersburg, ten powie,  
Że budowały go chyba szatany.

Ulice wszystkie ku rzece pobiegły:  
Szerokie, długie, jak wąwozy w górach.  
Domy ogromne: tu głązy, tam cegły,  
Marmur na glinie, glina na marmurach;  
A wszystkie równe i dachy, i ściany,  
Jak korpus wojska na nowo ubrany.  
Na domach pełno tablic i napisów;  
Śród pism tak różnych, języków tak wielu,  
Wzrok, ucho błądzi jak w wieży Babelu.  
Napis: "Tu mieszka Achmet, Chan Kirgisów,

Rządzący polskich spraw departamentem,  
Senator". — Napis: "Tu monsieur Żoko  
Lekcje daje paryskim akcentem,  
Jest kuchtą dworskim, wódczanym poborcą,  
Basem w orkiestrze, przy tym szkół dozorcą"  
Napis: "Tu mieszka Włoch Piacere Gioco.  
Robił dla frejlin carskich salcesony,  
Teraz paniński pensjon otwiera".  
Napis: "Mieszkanie pastora Dienera,  
Wielu orderów carskich kawalera.  
Dziś ma kazanie, wykład z ambony,  
Że car jest papież z Bożego ramienia,  
Pan samowładny wiary i sumnienia.  
I wzywa przy tym braci kalwinistów,  
Socynijanów i anabaptystów,  
Aby jak każe imperator ruski  
I jego wierny alijant król pruski,  
Przyjąwszy nową wiarę i sumnienie,  
Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie" \*  
Napis: "Tu stroje damskie" — dalej: "Nuty";  
Tam robią: "Dzieciom zabawki" — tam: "Knuty".

W ulicach koczę, karety, landary;  
Mimo ogromu i bystrego lotu  
Na łyżwach błysną, znikną bez łoskotu,  
Jak w panorama czarodziejskie mary.  
Na kozłach koczów angielskich brodaty  
Siedzi woźnica; szron mu okrył szaty,  
Brodę i wąsy, i brwi; biczem wali;  
Przodem na koniach lecą chłopcy mali  
W kożuchach, istne dzieci Boreasza;  
Świszczą piskliwie i gmin się rozprasza,  
Pierzcha przed koczem saneczek gromada,  
Jak przed okrętem białych kaczek stada.  
Tu ludzie biega, każdego mróz goni,  
Żaden nie stanie, nie patrzy, nie gada;  
Każdego oczy zmrużone, twarz blada,  
Każdy trze ręce i zębami dzwoni,  
I z ust każdego wyzioniona para  
Wychodzi słupem, prosta, długa, szara.  
Widząc te dymem buchające gminy,  
Myślisz, że chodzą po mieście kominy \*.

Po bokach gminnej cisnącej się trzody  
Ciągną poważnie dwa ogromne rzędy,

Jak procesyje w kościelne obrzędy  
Lub jak nadbrzeżne bystrej rzeki lody.  
I gdzież ta zgraja wlecze się powoli,  
Na mróz nieczuła jak trzoda soboli? —  
Przechadzka modna jest o tej godzinie;  
Zimno i wietrzno, ale któż dba o to,  
Wszak cesarz tędy zwykł chodzić piechotą,  
I cesarzowa, i dworu mistrzynie.  
Idą marszałki, damy, urzędniki,  
W równych abcugach: pierwszy, drugi, czwarty,  
Jako rzucane z rąk szulera karty,  
Króle, wyźniki, damy i niżniki,  
Starki i miodki, czarne i czerwone,  
Padają na tę i na ową stronę,  
Po obu stronach wspaniałej ulicy,  
Po mostkach lśniącym wysłanych granitem.  
A naprzód idą dworscy urzędnicy:  
Ten w futrze ciepłym, lecz na wpół odkrytym,  
Aby widziano jego krzyżów cztery;  
Zmarznie, lecz wszystkim pokaże ordery;  
Wyniosłym okiem równych sobie szuka  
I, gruby, pełźnie wolnym chodem żuka.  
Dalej gwardyjskie modniejsze młokosy,  
Proste i cienkie jak ruchome piki,  
W pół ciała tęgo związane jak osy.  
Dalej z pochyłym karkiem czynownicy,  
Spode łba patrzą, komu się pokłonić,  
Kogo nadeptać, a od kogo stronić;  
A każdy giętki, we dwoje skurczony,  
Tuląc się pełzną jako skorpiony.  
Pośrodku damy jako pstre motyle,  
Tak różne płaszcze, kapeluszków tyle;  
Każda w paryskim świeci się stroiku  
I nóżką miga w futrzanym trzewiku;  
Białe jak śniegi, rumiane jak raki. —  
Wtem dwór odjeżdża; stanęły orszaki.  
Podbiegły wozy, ciągnące jak statki  
Obok pływaczów w głębokiej kąpieli.  
Już pierwsi w wozy wsiedli i zniknęli;  
Za nimi pierzchły piechotne ostatki.  
Niejeden kaszlem suchotniczym stęknie,  
A przecież mówi: "Jak tam chodzić pięknie!  
Cara widziałem, i przed jenerałem  
Nisko kłaniałem, i z paziem gadałem!"

Szło kilku ludzi między tym natłokiem,  
Różni od innych twarzą i odzieniem,  
Na przechodzących ledwo rzucą okiem,  
Ale na miasto patrzą z zadumieniem.  
Po fundamentach, po ścianach, po szczytach,  
Po tych żelazach i po tych granitach  
Czepiają oczy, jakby próbowali,  
Czy mocno każda cegła osadzona;  
I opuścili z rozpaczą ramiona,  
Jak gdyby myśląc: człowiek ich nie zwali!

Dumali — poszli — został z jedynastu  
Pielgrzym sam jeden; zaśmiał się złośliwie,  
Wzniósł rękę, ścisnął i uderzył mściwie  
W głaz, jakby groził temu głazów miastu.  
Potem na piersiach założył ramiona  
I stał dumając, i w cesarskim dworze  
Utkwił źrenice dwie jako dwa noże;  
I był podobny wtenczas do Samsona,  
Gdy zdradą wzięty i skuty więzami  
Pod Filistynów dumał kolumnami.  
Na czoło jego nieruchome, dumne  
Nagły cień opadł, jak całun na trumnę,  
Twarz blada strasznie zaczęła się mroczyć;  
Rzekłbyś, że wieczór, co już z niebios spadał,  
Naprzód na jego oblicze osiadał  
I stamtąd dalej miał swój cień roztoczyć.

Po prawej stronie już pustej ulicy  
Stał drugi człowiek — nie był to podróżny,  
Zdał się być dawnym mieszkańcem stolicy,  
Bo rozdawaj ąc między lud jałmużny,  
Każdego z biednych po imieniu witał,  
Tamtych o żony, tych o dzieci pytał.  
Odprawił wszystkich, wsparł się na granicie  
Brzeżnych kanałów i wodził oczyma  
Po ścianach gmachów i po dworca szczytce,  
Lecz nie miał oczu owego pielgrzyma,  
I wzrok wnet spuszczał, kiedy szedł z daleka  
Biedny, żebrzący żołnierz lub kaleka.  
Wzniósł w niebo rękę, stał i dumał długo —  
W twarzy miał wyraz niebieskiej rozpaczki.  
Patrzył jak anioł, gdy z niebios posługą  
Między czyścicowe dusze zstąpić raczy  
I widzi całe w męczarniach narody,



Czuje, co cierpią, mają cierpieć wieki —  
I przewiduje, jak jest kres daleki  
Tylu pokoleń zbawienia — swobody.  
Oparł się płacząc na kanałów brzegu,  
Łzy gorzkie biegły i zginęły w śniegu;  
Lecz Bóg je wszystkie zbierze i policzy,  
Za każdą odda ocean słodczy.  
Późno już było, oni dwaj zostali,  
Oba samotni, i chociaż odlegli,  
Na koniec jeden drugiego postrzegli  
I długo siebie nawzajem zważali.  
Pierwszy postąpił człowiek z prawej strony:  
"Bracie, rzekł, widzę, żeś tu zostawiony  
Sam jeden, smutny, cudzoziemiec może;  
Co ci potrzeba, rozkaż w imię Boże;  
Chrześcijaninem jestem i Polakiem,  
Witam cię Krzyża i Pogoni znakiem".

Pielgrzym, zbyt swymi myślami zajęty,  
Otrząsnął głową i uciekł z wybrzeża;  
Ale nazajutrz, gdy myśli swych męty  
Z wolna rozjaśnia i pamięć odświeża,  
Nieraz żałuje owego natręta;  
Jeśli go spotka, pozna go, zatrzyma;  
Choć rysów jego twarzy nie pamięta,  
Lecz w głosie jego i w słowach coś było  
Znanego uszom i duszy pielgrzyma —  
Może się o nim pielgrzymowi śniło.

#### POMNIK PIOTRA WIELKIEGO

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce  
Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce:  
Jeden — ów pielgrzym, przybylec z zachodu,  
Nieznana carskiej ofiara przemocy;  
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,  
Sławny pieśniami na całej północy.  
Znali się z sobą niedługo, lecz wiele —  
I od dni kilku już są przyjaciele.  
Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody,  
Jako dwie Alpów spokrewnione skały:  
Choć je na wieki rozerwał nurt wody,  
Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,  
Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.  
Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,

A wieszcz rosyjski tak rzekł cichym głosem:

"Pierwszemu z carów, co te zrobił cuda,  
Druga carowa pamiątek stawiała \*.  
Już car odlany w kształcie wielkoluda  
Siadł na brązowym grzbiecie bucefala  
I miejsca czekał, gdzie by wjechał konno.  
Lecz Piotr na własnej ziemi stać nie może,  
W ojczyźnie jemu nie dosyć przestronne,  
Po grunt dla niego posłano za morze.  
Posłano wyrwać z finlandzkich nadbrzeży  
Wzgórek granitu; ten na Pani słowo  
Płynie po morzu i po lądzie bieży,  
I w mieście pada na wznak przed carową \*.  
Już wzgórek gotów; leci car miedziany,  
Car knutowładny w todze Rzymianina,  
Wskakuje rumak na granitu ściany,  
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie  
Kochanek ludów, ów Marek Aureli,  
Który tym naprzód rozstawił swe imię,  
Że wygnał szpiegów i donosicieli;  
A kiedy zdzierców domowych poskromił,  
Gdy nad brzegami Renu i Paktolu  
Hordy najeźdźców barbarzyńskich zgromił,  
Do spokojnego wraca Kapitolu.  
Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,  
Na czole błyszczą myśl o szczęściu państwa;  
Rękę poważnie wzniosł, jak gdyby wkoło  
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,  
A drugą rękę opuścił na wodze,  
Rumaka swego zapędy ukraca.  
Zgadniesz, że mnogi lud tam stał na drodze  
I krzyczał: "Cesarz, ojciec nasz powraca!"  
Cesarz chciał z wolna jechać między tłokiem,  
Wszystkich ojcowskim udarować okiem.  
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,  
Lecz zna, że wiezie najmilszego z gości,  
Że wiezie ojca milionom dzieci,  
I sam hamuje ogień swej żywości;  
Dzieci przyjść blisko, ojca widzieć mogą,  
Koń równym krokiem, równą stąpa drogą.  
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności \*!

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,  
Widać, że leciał tratując po drodze,  
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.  
Już koń szalony wzniosł w górę kopyta,  
Car go nie trzyma, koń wędzidłem zgrzyta,  
Zgadniesz, że spadnie i pryśnie w kawały.

Od wieku stoi, skacze, lecz nie spada,  
Jako lecąca z granitów kaskada,  
Gdy ścięta mrozem nad przepaścią zwiśnie —  
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie  
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,  
I cóż się stanie z kaskadą tyraństwa?"

#### PRZEGLĄD WOJSKA

Jest plac ogromny: jedni zowią szczwalnią,  
Tam car psy wtrawia, nim puści na zwierza;  
Drudzy plac zowią grzeczniej gotowalnią,  
Tam car swe stroje próbuje, przymierza,  
Nim w rury, w piki, w działa ustrojony,  
Wyjdzie odbierać monarchów pokłony. —  
Kokietka idąc na bal do pałacu  
Nie tyle trawi przed zwierciadłem czasów,  
Nie robi tyle umizgów, grymasów,  
Ile car co dzień na tym swoim placu.

Inni w tym placu widzą saranczarnię,  
Mówią, że car tam hoduje nasiona  
Chmury sarańczy, która wypasiona  
Wyleci kiedyś i ziemię ogarnie.

Są, co plac zowią toczydłem chirurga,  
Bo tu car naprzód lancety szlifuje,  
Nim wyciągnąwszy rękę z Petersburga,  
Tnie tak, że cała Europa poczuje;  
Lecz nim wyśledzi, jak głęboka rana,  
Nim plastr obmyśli od nagłej krwi straty,  
Już car puls przetnie szacha i sułtana  
I krew wypuści spod serca Sarmaty.

Plac różnych imion, lecz w języku rządów  
Zowie się placem wojskowych przeglądów.  
Dziesiąta — ranek — już przeglądów pora,  
Już plac okrąży ludu zgraja cicha,

Jako brzeg czarny białego jeziora;  
Każdy się tłoczy, na środek popycha.  
Po placu, jako rybitwy nad wodą,  
Zwija się kilku doriców i dragunów;  
Ciekawsze głowy tylcem piki bodą,  
Na bliższe karki sypią grad bizunów.  
Kto wylał naprzód jak żaba z bagniska,  
Ze łbem się cofa i kark w tłumy wciska.  
Słychać grzmot z dala, głuchy, jednostajny,  
Jak kucie młotów lub młócenie cepów:  
To bęben, pułków przewodnik zwyczajny,  
Za nim szeregi ciągną się wzdłuż stepów,  
Mnogie i różne, lecz w jednym ubiorze,  
Zielone, w śniegu czernią się z daleka;  
I płynie każda kolumna jak rzeka,  
I wszystkie w placu toną jak w jeziorze.

Tu mi daj, muzo, usta stu Homerów,  
W każde wsadź ze sto paryskich języków,  
I daj mi pióra wszystkich buchalterów,  
Bym mógł wymienić owych pułkowników,  
I oficerów, i podoficerów,  
I szeregowych zliczyć bohaterów.  
Lecz bohaterzy tak podobne sobie,  
Tak jednostajne! stoi chłop przy chłopie,  
Jako rząd koni żujących przy żłobie,  
Jak kłosa w jednym uwiązane snopie,  
Jako zielone na polu konopie,  
Jak wiersze książki, jak skiby zagonów,  
Jak petersburskich rozmowy salonów.  
Tyle dostrzegłem, że jedni z Moskalów,  
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów,  
Mieli na czapkach mosiężne litery  
Jakby łysinki — to grenadyjery;  
I było takich trzy zgraje wąsalów.  
Za nimi niżsi stali w mnogich rzędach,  
Jak pod liśćmi ogórki na grzędach.  
Żeby rozróżnić pułki w tej piechocie,  
Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,  
Który przegląda wykopane w błocie  
I gatunkuje, i nazywa glisty.

Zagrzmiały trąby — to konne orszaki,  
I rozmaitsze, ułanów, huzarów,  
Dragonów: czapki, kirysy, kołpaki —

Myślałbyś, że tu kapelusznik jaki  
Rozłożył składy swych różnych towarów;  
W końcu pułk wjechał: chłopy gdyby hlaki,  
Okute miedzią jak rząd samowarów,  
A spodem pyski końskie jako haki.  
Pułki w tak różnych ubiorach i broniach  
Najlepiej będzie rozróżnić po koniach;  
Bo tak i nowa taktyka doradza,  
I z obyczajem ruskim to się zgadza.

Napisał wielki jenerał Żomini,  
Że koń, nie człowiek, dobrą jazdę czyni;  
Dawno już o tym wiedzieli Rusini:  
Bo za dobrego konia gwardyjaka  
Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy\*.  
Oficerskiego cena jest czworaka,  
I za takiego konia dać należy  
Lutnistę, skoczka albo też pisarza,  
A w czasach drogich nawet i kucharza.  
Skarbowe chude, poderwane klacze,  
Nawet te, które wożą lazarety,  
Jeśli je stawią w faraona gracze,  
Liczą się zawsze: klacz za dwie kobiety.

Wróćmy do pułków. — Pierwszy wjechał kary,  
Drugi też kary, lecz angliczowany,  
Dwa było gniade, a piąty bułany,  
Siódmy znów gniady, ósmy jak mysz szary,  
Dziewiąty rosty, dziesiąty mierzyna,  
A potem znowu kary bez ogona,  
U dwunastego na czole łysina,  
A zaś ostatni wyglądał jak wrona.

Harmat wjechało czterdzieści i osim,  
Jaszczyków więcej niżli drugie tyle;  
Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim:  
Bo żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę  
Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,  
Trzeba mieć oko tve, Napoleonie,  
Lub twoje, ruski intendencie prochu —  
Ty, nie zważając na ludzi i konie,  
Jaszczyków patrzysz, wnet liczbę ich zgadłeś,  
Wiesz, ile w każdym ładunków ukradłeś.

Już plac okryły zielone mundury,

Jak trawy, w które ubiera się łąka,  
Gdziekolwiek tylko wznosi się do góry  
Jaszczyk podobny do błotnego bąka  
Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,  
A przy nim działa ze swoim lawetem  
Usiadło na kształt czarnego pająka.

Każdy ten pająk ma nóg przednich cztery  
I cztery tylnych: zowią się te nogi  
Kanonijery i bombardyjery.  
Jeżeli siedzi spokojnie wśród drogi,  
Noga się każda gdzieś daleko rucha;  
Myślisz, że całkiem oddzielne od brzucha,  
I brzuch jak balon w powietrzu ulata.  
Lecz skoro cicha, drzemiąca harmata  
Nagle się zbudzi rozkazem wyzwana,  
Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie\*  
Wnet ściągnie nogi, podchyła kolana  
I nim się nadmie, nim jady wybuchnie,  
Zrazu przednimi kanonijerami  
Okolo pyska długo, szybko wije  
Jak mucha, co się w arseniku splami,  
Siadłszy swój czarny pyszczyk długo myje;  
Potem dwie przednie nogi w tył wyrzuci,  
Tylnymi kręci, potem kiwa zadem,  
Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,  
Chwilę spoczywa, w końcu buchnie jadem.

Pułki stanęły — patrzą — car, car jedzie,  
Tuż kilku starych, konnych admirałów,  
Tłum adiutantów i ćma generałów  
Z tyłu i z przodu, a car sam na przedzie.  
Orszak dziwacznie pstry i cętkowany,  
Jak arlekiny: pełno na nich wstążek \*,  
Kluczyków, cyfer, portrecików, sprzątek,  
Ten sino, tamten żółto przepasany,  
Na każdym gwiazdek, kółek i krzyżyków  
Z przodu i z tyłu więcej niż guzików.

Świecą się wszyscy, lecz nie światłem własnym,  
Promienie na nich idą z oczu pańskich;  
Każdy generał jest robaczkiem jasnym,  
Co błyszczący pięknie w nocach świętojańskich;  
Lecz skoro przejdzie wiosna carskiej łaski,  
Nędzne robaczki tracą swoje blaski:

Żyją, do cudzych krajów nie ucieka,  
Ale nikt nie wie, gdzie się w błocie wleką.  
Jenerał w ogień śmiałym idzie krokiem,  
Kula go trafi, car się doń uśmiechnie;  
Lecz gdy car strzeli niełaskawym okiem,  
Jenerał bladnie, słabnie, często — zdechnie.

Śród dworzan prędzej znalazłbyś stoików,  
Wspaniałe dusze — choć gniew cara czują,  
Ani się zarzną, ani zachorują \*;  
Wyjadą na wieś do swych pałaczków  
I piszą stamtąd: ten do szambelana,  
Ów do metresy, ów do damy dworu,  
Liberalniejsi piszą do furmana.  
I znowu z wolna wrócą do faworu. —  
Tak z domu oknem zrucony pies zdycha,  
Kot miauknie tylko, lecz stanie na nogi  
I znowu szuka do powrotu drogi,  
I jakąś dziurą znowu wnidzie z cicha;  
Nim stoik w służbę wróci tryumfalnie,  
Na wsi rozprawia cicho — liberalnie.

Car był w mundurze zielonym, z kołnierzem  
Złotym. Car nigdy nie zruca mundura;  
Mundur wojskowy jest to carska skóra,  
Car rośnie, żyje i — gnije żołnierzem.

Ledwie z kolebki dziecko wyjdzie carskie,  
Zaraz do tronu zrodzony paniczek  
Ma za strój kurtki kozackie, huzarskie,  
A za zabawkę szabelkę i — biczyk.  
Sylabizując szabelką wywija  
I nią wskazuje na książce litery;  
Kiedy go tańczyć uczył guwernery \*,  
Biczykiem takty muzyki wybija.  
Dorósłszy, całą jest jego zabawą  
Zbierać żołnierzy do swojej komnaty,  
Komenderować na lewo, na prawo,  
I wprawiać pułki w musztrę — i pod baty.

Tak się car każdy do tronu sposobił,  
Stąd ich Europa boi się i chwali;  
Słusznie z Krasickim starzy powiadali:  
"Mądry przegadał, ale głupi pobił".  
Piotra Wielkiego niechaj pamięć żyje,

Pierwszy on odkrył tę Caropedyję.  
Piotr wskazał carom do wielkości drogę;  
Widział on mądre Europy narody  
I rzekł: "Rosyję zeuropejczyć mogę,  
Obetnę suknie i ogolę brody".  
Rzekł — i wnet poły bojarów, kniazików  
Ścięto jak szpaler francuskiego sadu;  
Rzekł — i wnet brody kupców i muzyków  
Sypią się chmurą jak liście od gradu.  
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,  
Postawił turmy, urządził kadety,  
Kazał na dworze tańczyć menuety  
I do towarzystw gwałtem wwiodł kobiety;  
I na granicach poosadzał strażę,  
I łańcuchami pozamykał porty,  
Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,  
Odkupy wódek, czyny i paszporty;  
Ogolił, umył i ustroił chłopa,  
Dał mu broń w ręce, kieszeń narublował  
I zadziwiona krzyknęła Europa:  
"Car Piotr Rosyją ucywilizował".  
Zostało tylko dla następnych carów  
Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,  
Przysyłać w pomoc despotom bagnety,  
Wyprawić kilka rzezi i pożarów;  
Zagrabiać cudze dokoła dzierżawy,  
Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,  
By zyskać oklask Francuzów i Niemców,  
Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

Niemcy, Francuzi, zaczekajcie nieco!  
Bo gdy wam w uszy zabrzmie huk ukazów,  
Gdy knutów grady na karki wam zlecą,  
Gdy was pożary waszych miast oświecą,  
A wam natenczas zabraknie wyrazów;  
Gdy car rozkaże ubóstwiać i sławić  
Sybir, kibitki, ukazy i knuty —  
Chyba będziecie cara pieśnią bawić,  
Waryjowaną na dzisiejsze nuty.

Car jak kręgielna kula między szyki  
Wleciał i spytał o zdrowie gawiedzi;  
"Zdrowia ci życzym", szepcą wojownicy,  
Ich szepty były jak mruk stu niedźwiedzi.  
Dał rozkaz — rozkaz wymknął się przez zęby



I wpadł jak piłka w usta komendanta,  
I potem gnany od gęby do gęby  
Na ostatniego upada szierzanta.  
Jęknęły bronie, szczękęły pałasze  
I wszystko było zmieszane w odmęcie:  
Na liniowym kto widział okręcie  
Ogromny kocioł, w którym robią kaszę,  
Kiedy wien woda z pompy jako z rzeczki  
Bucha, a w wodę sypie majtków rzesza  
Za jednym razem krup ze cztery beczki,  
Potem dziesiątkiem wioseł w kotle miesza;  
Kto zna francuską izbę deputatów,  
Większą i stokroć burzliwszą od kotła,  
Kiedy w nie projekt komisya wmiotła  
I już nadchodzi godzina debatów:  
Cała Europa, czując z dawna głody,  
Myśli, że dla niej tam warzą swobody;  
Już liberalizm z ust jako z pomp bucha;  
Ktoś tam o wierze wspomniał na początku,  
Izba się burzy, szumi i nie słucha;  
Ktoś wspomniał wolność, lecz nie zrobił wrzątku,  
Ktoś wreszcie wspomniał o królów zamiarach,  
O biednych ludach, o despotach, carach,  
Izba znudzona krzyczy: "Do porządku!"  
Aż tu minister skarbu, jakby z drągiem,  
Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,  
Zaczyna mieszać mową o procentach,  
O cłach, opłatach, stemplach, remanentach;  
Izba wre, huczy i kipi, i pryska,  
I szumowiny aż pod niebo ciska;  
Ludy się cieszą, gabinety straszą,  
Aż się dowiedzą wszyscy na ostatku,  
Że była mowa tylko — o podatku.

Kto tedy widział owy kocioł z kaszą  
Lub ową izbę — ten łatwo zrozumie,  
Jaki gwar powstał" w tyłu pułków tłumie,  
Gdy rozkaz carski wleciał w środek kupy.  
Wtem trzystu bębnow ozwały się huki,  
I jak lód Newy gdy pryśnie na sztuki,  
Piechota w długie porznęła się słupy.  
Kolumny jedne za drugimi dążą,  
Przed każdą bęben i komendant woła;  
Car stał jak słońce, a pułki dokoła  
Jako planety toczą się i krążą.

Wtem car wypuścił stado adiutantów,  
Jak wróble z klatki albo psy ze smyczy;  
Każdy z nich leci, jak szalony krzyczy,  
Wrzask jenerałów, majorów, szierzantów,  
Huk tarabanów, piski muzykantów —  
Nagle piechota, jak lina kotwicy  
Z kłębów rozwita, wyciąga się sznurem;  
Ściany idącej pułkami konnicy  
Łączą się, wiążą, jednym stają murem.

Jakie zaś dalej były tam obroty,  
Jak jazda rącza i niewyciężona  
Leciała obses na karki piechoty:  
Jak kundlów psiarnia trąbą poduszczona  
Na związanego niedźwiedzia uderza,  
Widząc, że w kluby ujęto pysk zwierza —  
Jak się piechota kupi, ściska, kurczy,  
Nadstawia bronie jako igły jeżę,  
Który poczuje, że pies nad nim burczy;  
Jak wreszcie jazda w ostatnim poskoku  
Targniona smyczą powściągnęła kroku;  
I jak harmaty w przód i w tył ciągnano,  
Jak po francusku, po rusku łajano,  
Jak w areszt brano, po karkach trzepano,  
Jak tam marzniono i z koni spadano,  
I jak carowi w końcu wieszowano —  
Czuję tę wielkość, bogactwo przedmiotu!  
Gdybym mógł opiąć, wstawiłbym me imię,  
Lecz muza moja jak bomba w pół lotu  
Spada i gaśnie w prozaicznym rymie,  
I wśród głównego manewrów obrotu,  
Jak Homer w walce bogów — ja — ach, drzymię.

Już przerobiono wojskiem wszystkie ruchy,  
O których tylko car czytał lub słyszał;  
Śród zgrai widzów już się gwar uciszał,  
Już i sukmany, delije, kozuchy,  
Co się czerniły gęsto wkoło placu,  
Rozpełzały się każda w swoje stronę,  
I wszystko było zmarzłe i znudzone —  
Już zastawiano śniadanie w pałacu.

Ambasadory zagranicznych rządów,  
Którzy pomimo i mrozu, i nudy,

Dla łaski carskiej nie chybią przeglądów  
I co dzień krzyczą: "o dziwy! o cudy!"  
Już powtórzyli raz tysięczny drugi  
Z nowym zapałem dawne komplementy:  
Ze car jest taktyk w planach niepojęty,  
Że wielkich wodzów ma na swe usługi,  
Że kto nie widział, nigdy nie uwierzy,  
Jaki tu zapał i męstwo żołnierzy.  
Na koniec była rozmowa skończona  
Zwyczajnym śmiechem z głupstw Napoleona;  
I na zegarek już każdy spojierał,  
Bojąc się dalszych galopów i kłusów;  
Bo mróz dociskał dwudziestu gradusów,  
Dusiła nuda i głód już doskwierał.

Lecz car stał jeszcze i dawał rozkazy;  
Swe pułki siwe, karę i bułane  
Puszcza, wstrzymuje po dwadzieście razy;  
Znowu piechotę przedłuża jak ścianę,  
Znowu ją ściska w czworobok zawarty  
I znowu na kształt wachlarza roztacza.  
Jak stary szuler, choć już nie ma gracza,  
Miesza i zbiera, i znów miesza karty;  
Choć towarzystwo samego zostawi,  
On się sam z sobą kartami zabawi.

Aż sam się znudził, konia nagle zwrócił  
I w jenerałów ukrył się natłoku;  
Wojsko tak stało, jak je car porzucił,  
I długo z miejsca nie ruszyło kroku.  
Aż trąby, bębny dały znak nareszcie:  
Jazda, piechota, długich kolumn dwieście  
Płyną i toną w głębi ulic miejskich —  
Jakże zmienione, niepodobne wcale  
Do owych bystrych potoków alpejskich,  
Co rycząc mętne wałą się po skale,  
Aż w jezior jasnym spotkają się łonie  
I tam odpoczną, i oczyszczą wody,  
A potem z lekka nowymi wychody  
Błyskają, tocząc szmaragdowe tonie. —  
Tu pułki weszły czerstwe, czyste, białe;  
Wyszły zziajane i oblane potem,  
Roztopionymi śniegi poczerniałe,  
Brudne spod lodu wydeptanym błotem.  
Wszyscy odeszli: widzę i aktory.

Na placu pustym, samotnym zostało  
Dwadzieście trupów: ten ubrany biało,  
Żołnierz od jazdy; tamtego ubiory  
Nie zgadniesz jakie, tak do śniegu wbity  
I stratowany końskimi kopyty.  
Ci zmarzli, stojąc przed frontem jak słupy,  
Wskazując pułkom drogę i cel biegu;  
Ten się zmyliwszy w piechoty szeregu  
Dostał w łeb kolbą i padł między trupy.

Biorą ich z ziemi policejskie sługi  
I niosą chować; martwych, rannych społem —  
Jeden miał żebra złamane, a drugi  
Był wpół harmatnym przejechany kołem;  
Wnętrznosci ze krwią wypadły mu z brzucha,  
Trzykroć okropnie spod harmaty krzyknął,  
Lecz major woła: "Milcz, bo car nas słucha";  
Żołnierz tak słuchać majora przywyknął,  
Ze zęby zaciął; nakryto co żywo  
Rannego płaszczem, bo gdy car przypadkiem  
Z rana jest takiej nagłej śmierci świadkiem  
I widzi na czczo skrwawione mięsivo —  
Dworzanie czują w nim zmianę humoru,  
Zły, opryskliwy powraca do dworu,  
Tam go czekają z śniadaniem nakryłem,  
A jeść nie może mięsa z apetytem.

Ostatni ranny wszystkich bardzo zdziwił:  
Grożono, bito, próżna groźba, kara,  
Jenerałowi nawet się sprzeciwił,  
I jęczał głośno — klął samego cara.  
Ludzie niezwykłym przerażeni krzykiem  
Zbiegli się nad tym parad męczennikiem.

Mówią, że jechał z dowódcy rozkazem,  
Wtem koń mu stanął jak gdyby zaklęty,  
A z tyłu wleciał cały szwadron razem;  
Złamano konia, i żołnierz zepchnięty  
Leżał pod jazdą płynącą korytem;  
Ale od ludzi litościwsze konie:  
Skakał przez niego szwadron po szwadronie,  
Jeden koń tylko trafił weń kopytem  
I złamał ramię; kość na wpół rozpadła  
Przedarła mundur i ostrzem sterczała  
Z zielonej sukni, strasznie, trupio biała,

I twarz żołnierza równie jak kość zbladła;  
Lecz sił nie stracił: wznosił drugą rękę  
To ku niebiosom, to widzów gromady  
Zdawał się wzywać i mimo swą mękę  
Dawał im głośno, długo jakieś rady.  
Jakie? nikt nie wie, nie mówią przed nikim.  
Bojąc się szpiegów słuchacze uciekli  
I tyle tylko pytającym rzekli,  
Że ranny mówił złym ruskim językiem;  
Kiedy niekiedy słyhać było w gwarze:  
"Car, cara, caru" — coś mówił o carze.

Chodziły wieści, że żołnierz zdeptany  
Był młodym chłopcem, rekrutem, Litwinem,  
Wielkiego rodu, księcia, grata synem;  
Że ze szkół gwałtem w rekruty oddany,  
I że dowódca, nie lubiąc Polaka,  
Dał mu umyślnie dzikiego rumaka,  
Mówiąc: "Niech skręci szyję Lach sobaka".

Kto był, nie wiedzą, i po tym zdarzeniu  
Nikt nie postyszał o jego imieniu;  
Ach! kiedyś tego imienia, o carze,  
Będą szukali po twoim sumnieniu.  
Diabeł je pośród tysięcy ukaże,  
Któreś ty w minach podziemnych osadził,  
Wrzucił pod konie, myśląc, żeś je zgładził.

Nazajutrz z dala za placem słyszano  
Psa głuche wycie — czerni się cos w śniegu;  
Przybiegli ludzie, trupa wygrzebano;  
On po paradzie został na noclegu.  
Trup na pół chłopski, na poły wojskowy,  
Z głową strzyżoną, ale z brodą długą,  
Miał czapkę z futrem i płaszcz mundurowy,  
I był zapewne oficerskim sługą.  
Siedział na wielkim futrze swego pana,  
Tu zostawiony, tu rozkazu czekał,  
I zmarł, i śniegu już miał za kolana.  
Tu go pies wierny znalazł i oszczeakał. —  
Zmarznął, a w futro nie okrył się ciepłe;  
Jedna źrenica śniegiem zasypana,  
Lecz drugie oko otwarte, choć skrzepłe,  
Na plac obrócił: czekał stamtąd pana!

Pan kazał siedzieć i sługa usiądzie,  
Kazał nie ruszać z miejsca, on nie ruszy,  
I nie powstanie — aż na strasznym sądzie;  
I dotąd wierny panu, choć bez duszy,  
Bo dotąd ręką trzyma pańską szubę  
Pilnując, żeby jej nie ukradziono;  
Drugą chciał rękę ogrzać, ukryć w łono,  
Lecz już nie weszły pod płaszcz palce grube.

I pan go dotąd nie szukał, nie pytał!  
Czy mało dbały, czy nadto ostrożny —  
Zgadują, że to oficer podróżny;  
Ze do stolicy niedawno zawiątał,  
Nie z powinności chodził na parady,  
Lecz by pokazać świeże epolety —  
Może z przeglądów poszedł na obiady,  
Może na niego mrugnęły kobiety,  
Może gdzie wstąpił do kolegi gracza  
I nad kartami — zapomniał brodacza;  
Może się wyrzekł i futra, i sługi,  
By nie rozgłosić, że miał szubę z sobą;  
Że nie mógł zimna wytrzymać jak drugi,  
Gdy je car carską wytrzymał osobą;  
Boby mówiono: jeździ nieformalnie  
Na przegląd z szubą! — myśli liberalnie.

O biedny chłopie! heroizm, śmierć taka,  
Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem.  
Jak cię nagrodzą? pan powie z uśmiechem,  
Żeś był do zgonu wierny — jak sobaka.  
O biedny chłopie! za cóż mi łza płynie  
I serce bije, myśląc o twym czynie:  
Ach, żal mi ciebie, biedny Słowianinie! —  
Biedny narodzie! żal mi twojej doli,  
Jeden znasz tylko heroizm — niewoli.

#### DZIEŃ PRZED POWODZIĄ PETERSBURSKĄ 1824 OLESKIEWICZ

Gdy się najtęższym mrozem niebo żarzy,  
Nagle zsiniało, plamami czernieje,  
Podobne zmarzłej nieboszczyka twarzy,  
Która się w izbie przed piecem rozgrzeje,

Ale nabrawszy ciepła, a nie życia,  
Zamiast oddechu zionie parą gnicia.  
Wiatr zawiał ciepły. — Owe słupy dymów,  
Ów gmach powietrzny jak miasto olbrzymów,  
Niknąc pod niebem jak czarów widziadło,  
Runęło w gruzy i na ziemię spadło:  
I dym rzekami po ulicach płynął,  
Zmieszany z parą ciepłą i wilgotną;  
Śnieg zaczął topnieć — i nim wieczór minął,  
Oblewał bruki rzeką Stygu błotną.  
Sanki uciekły, koczki i landary  
Zerwano z płozów; grzmiały po bruku koła;  
Lecz pośród mroku i dymu, i pary  
Oko pojazdów rozróżnić nie zdoła;  
Widać je tylko po latarek błyskach,  
Jako płomyki błędne na bagniskach.

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem  
Ogromnej Newy; lubią iść o zmroku,  
Bo czynowników unikną widoku  
I w pustym miejscu nie zejną się z szpiegiem.  
Szli obcym z sobą gadając językiem;  
Czasem pieśń jakąś obcą z cicha nuca,  
Czasami staną i oczy obróca,  
Czy kto nie słucha? — nie zeszli się z nikim.  
Nucąc błędzili nad Newy korytem,  
Które się ciągnie jak alpejska ściana,  
Aż się wstrzymali, gdzie między granitem  
Ku rzece droga spada wyrębana.  
Stamtąd, na dole, ujrzeni z daleka  
Nad brzegiem wody z latarką człowieka:  
Nie szpieg, bo tylko śledził czegoś w wodzie,  
Ani przewoźnik, któż pływa po lodzie?  
Nie jest rybakiem, bo nic nie miał w ręku  
Oprócz latarki i papierów pęku.

Podeszli bliżej, on nie zwrócił oka,  
Wyciągał powróż, który w wodę zwisał,  
Wyciągnął, węzły zliczył i zapisał;  
Zdawał się mierzyć, jak woda głęboka.  
Odblask latarki odbity od lodu  
Oblewa jego księgi tajemnicze  
I pochylone nad świecą oblicze  
Żółte jak obłok nad słońcem zachodu:  
Oblicze piękne, szlachetne, surowe.

Okiem tak pilnie w swojej księdze czytał,  
Że słysząc obcych kroki i rozmowę  
Tuż ponad sobą, kto są, nie zapytał,  
I tylko z ręki lekkiego skinienia  
Widać, że prosi, wymaga milczenia.

Coś tak dziwnego było w ręki ruchu,  
Że choć podróżni tuż nad nim stanęli,  
Patrząc i szepcząc, i śmiejąc się w duchu,  
Umilkli wszyscy, przerwać mu nie śmieli.  
Jeden w twarz spojrział i poznał, i krzyknął:  
"To on!" — i któż on? — Polak, jest malarzem,  
Lecz go właściwiej nazywać guślarzem,  
Bo dawno od farb i pędzla odwyknął,  
Bibliją tylko i kabałę bada,  
I mówią nawet, że z duchami gada.

Malarz tymczasem wstał, pisma swe złożył  
I rzekł, jak gdyby rozmawiając z sobą:  
"Kto jutra dożył, wielkich cudów dożył;  
Będzie to drugą, nie ostatnią próbą;  
Pan wstrząśnie szczeble asurskiego tronu,  
Pan wstrząśnie grunty miasta Babilonu;  
Lecz trzecią widzieć. Panie! nie daj czasu!"  
Rzekł i podróżnych zostawił u wody,  
A sam z latarką z wolna szedł przez schody  
I zniknął wkrótce za parkan terasu.  
Nikt nie zrozumiał, co ta mowa znaczy;  
Jedni zdumieni, drudzy rozśmieszeni,  
Wszyscy krzyknęli: "Nasz guślarz dziwaczy",  
I chwilę jeszcze stojąc pośród cieni,  
Widząc noc późną, chłodną i burzliwą,  
Každy do domu powracał co żywo.

Jeden nie wrócił, lecz na schody skoczył  
I biegł terasem; nie widział człowieka,  
Tylko latarkę jego z dala zoczył,  
Jak błędna gwiazda świeciła z daleka.  
Chociaż w malarza nie zajrzał oblicze,  
Choć nie dosłyszał, co o nim mówili,  
Ale dźwięk głosu, słowa tajemnicze  
Tak nim wstrząsnęły! — przypomniał po chwili,  
Że głos ten słyszał, i biegł co miał mocy  
Nieznaną drogą śród słoty, śród nocy.



Latarka prędko niesiona mignęła,  
Coraz mniej szata, zakryta mgły mrokiem  
Zdała się gasnąć; wtem nagle stanęła  
W pośrodku pustek na placu szerokiém.  
Podróżny kroki podwoił, dobiega;  
Na placu leżał wielki stos kamieni,  
Na jednym głazie malarza spostrzega:  
Stał nieruchomy pośród nocnych cieni.  
Głowa odkryta, odsłonięte barki,  
A prawa ręka wzniesiona do góry,  
I widać było z kierunku latarki,  
Że patrzył w dworca cesarskiego mury.  
I w murach jedno okno w samym rogu  
Błyszczało światłem; to światło on badał,  
Szeptał ku niebu, jak modląc się Bogu,  
Potem głos podniósł i sam z sobą gadał.

"Ty nie śpisz, carze! noc już wkoło głucha,  
Śpią już dworzanie — a ty nie śpisz, carze;  
Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,  
On cię w przeczuciach ostrzega o karze.  
Lecz car chce zasnąć, gwałtem oczy zmrużą,  
Zaśnie głęboko — dawniej ileż razy  
Był ostrzegany od anioła stróża  
Mocniej, dobitniej, sennymi obrazami.  
On tak zły nie był, dawniej był człowiekiem;  
Powoli wreszcie zszedł aż na tyrana,  
Anioły Pańskie uszły, a on z wiekiem  
Coraz to głębiej wpadał w moc szatana.  
Ostatnią radę, to przeczucie ciche,  
Wybij z głowy jak marzenie liche;  
Nazajutrz w dumę wzbiją go pochlebce  
Wyżej i wyżej, aż go szatan zdepcze...

Ci w niskich domkach nikczemni poddani  
Naprzód za niego będą ukarani;  
Bo piorun, w martwe gdy bije żywioły,  
Zaczyna z wierzchu, od góry i wieży,  
Lecz między ludźmi naprzód bije w doły  
I najmniej winnych najpierwej uderzy...

Usnęli w pijaństwie, w swarach lub w rozkoszy,  
Zbudzą się jutro — biedne czaszki trupie!  
Śpijcie spokojnie jak zwierzęta głupie,  
Nim was gniew Pański jak myśliwiec sploty,

Tępiący wszystko, co w kniei spotyka,  
Aż dojdzie w końcu do legowisk dzika.

Słyszę! — tam! — wichry — już wytknęły głowy  
Z polarnych lodów, jak morskie straszidła;  
Już sobie z chmury porobili skrzydła,  
Wsiedli na falę, zdjęli jej okowy;  
Słyszę! — już morska otchłań rozchełznana  
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła,  
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma;  
Już! — jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma —  
Wkrótce rozkują — słyszę młotów kucie..."

Rzekł i postrzegłszy, że ktoś słucha z boku,  
Zadmuchnął świecę i przepadł w pomroku.  
Błysnął i zniknął jak nieszczęść przecucie,  
Które uderzy w serce, niespodziane,  
I przejdzie straszne — lecz nie zrozumiane.

Koniec Ustępu

## Ustęp II

TEN USTĘP  
PRZYJACIOŁOM  
MOSKALOM

Poświęca  
AUTOR

### DO PRZYJACIOŁ MOSKALI

Wy, czy mnie wspominać! ja, ilekroć marzę  
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach,  
I o was myślę: wasze cudzoziemskie twarze  
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,  
Którąm jak bratnią ścisnął carskimi wyroki  
Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa;  
Klątwa ludom, co swoje mordują proroki.

Ta ręka, którą do mnie Bestużew wyciągnął,  
Wieszcz i żołnierz, ta ręka od pióra i broni  
Oderwana, i car ją do taczki zaprzęgnął;  
Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni.

Innych może dotknęła sroższa niebios kara;  
Może kto z was urzędem, orderem zhańbiony,  
Duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara  
I dziś na progach jego wybija pokłony.

Może płatnym językiem tryumf jego sławi  
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa,  
Może w ojczyźnie mojej moją krwią się krwawi  
I przed carem, jak z zasług, chlubi się z przeklestwa.

Jeśli do was, z daleka, od wolnych narodów,  
Aż na północ zalecą te pieśni żałosne  
I odezwą się z góry nad krainą lodów,  
Niech wam zwiastują wolność, jak żurawie wiosnę.

Poznacie mię po głosie; pókim był w okuciach,  
Pełzając milczkiem jak wąż, łudziłem despotę,  
Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach

I dla was miałem zawsze gołębia prostotę.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny,  
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,  
Gorycz wyszana ze krwi i z łez mej ojczyzny,  
Niech zrze i pali, nie was, lecz wasze okowy.

Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga  
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży  
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,  
Że w końcu gotów kęsać rękę, co ją targa.

Koniec

# OBJAŚNIENIA [POETY]

Wyrazy czyn, czynownik, często są tu użyte w znaczeniu rosyjskim, dla Litwinów tylko zrozumiałe". W Rosji, ażeby nie być chłopem albo kupcem, słowem, aby mieć przywilej uwalniający od kary knuta, trzeba wejść w służbę rządową i pozyskać tak nazwaną klasę albo czyn. Służba dzieli się na czternaście klas; potrzeba kilka lat służby dla przejścia z jednej klasy w drugą. Są przepisane czynownikom różne egzamina, podobne do formalności zachowujących się w hierarchii mandaryńskiej w Chinach, skąd, zdaje się, że ten wyraz Mogołowie do Rosji przenieśli, a Piotr Pierwszy znaczenie tego wyrazu odgadnął i całą instytucją w duchu prawdziwie chińskim rozwinął. Czynownik często nie jest urzędnikiem, czeka tylko urzędu i starać się on ma prawo. Każda klasa albo czyn odpowiada pewnej randze wojskowej, i tak: doktor filozofii albo medycyny liczy się w klasie ósmej i ma stopień majora, czyli asesora koleskiego; stopień kapitański ma frejlina, czyli panna dworu cesarskiego; biskup lub archirej jest generałem. Między czynownikami wyższymi i niższymi stosunki uległości i posłuszeństwa przestrzegają się z równą prawie ścisłością jak w wojsku.

1. Myśląc, że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.

Feldjegry, czyli strzelcy polni cesarscy, są rodzajem żandarmów; polują szczególnie na osoby rządowi podejrzane, jeżdżą po polu w kibitkach, to jest wózkach drewnianych bez resorów i żelaza, wąskich, płaskich i z przodu wyższych niż z tyłu. Byron wspomina o tych wozach w swoim *Don Judnie*". Feldjeger przybywa po polu w nocy, porywa podejrzaną osobę, nie mówiąc nigdy, gdzie ją powiezie. Kibitka opatrzona jest dzwonkiem pocztowym. Kto nie był w Litwie, z trudnością wystawi sobie przestach, jaki panuje w każdym domu, u którego wrót odezwie się dzwonek pocztowy.

2. Pytał raz Litwin, nie wiem, diabła czy Pińczuka.

Nazywa lud w Litwie Pińczukami obywatele błotnistych okolic Pińska.

3. Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli.

Więźniowie, którzy długo byli w zamknięciu, wychodząc na świeże powietrze doświadczają pewnego rodzaju upojenia.

4. W Litwie zły to znak płakać we dniu inkutowin.

Nazywają inkutowinami uroczystość, którą gospodarz obchodzi, wnosząc się do nowego mieszkania.

5. Stoi spisany jasno jak ukaz senacki.

Przysłowiem stała się w Rosji ciemność ukazów senackich". Szczególnie ukazy sądowe, czyli wyroki, umyślnie tak bywają układane, aby je różnie tłumaczyć i stąd nową sprawę toczyć można było. Jest to interesem kancelarii senackich, ciągnących niezmiernie zyski z procesów.

6. KOLESKI REGISTRATOR (do Sowieтника).

Koleski registrator jest to jeden z najniższych czynów. Sowieowników, czyli radzców, różne są rodzaje i gatunki, jako to: radcy honorowi, kolescy, tajni, rzeczywisci. — Pewny dowcipny Rosjanin mawiał, iż Rzeczywisty Tajny Radzca jest trojakim kłamstwem: bo nie radzi, nie wie o żadnej tajemnicy i często jest najniedorzeczniej szym stworzeniem. Mówiono raz o jakimś czynowniku i nazywano go dobrym człowiekiem. "Nazwij raczej dobrym chłopcem — odezwał się ów żartowniś. — Jak czynownik może

być człowiekiem, póki jest tylko registratorem? W Rosji ażeby być człowiekiem, trzeba być przynajmniej radczą stanu".

#### 7. Nam każą iść na bal.

Zaproszenie urzędowe na bal jest w Rosji rozkazem; szczególnie jeśli bal daje się z okoliczności urodzin, imienin, zaślubin itd. cesarza lub osób rodziny panującej, albo też jakiego wielkiego urzędnika. W takich razach osoba podejrzana lub źle widziana od rządu, nie idąc na bal, naraża się na niemałe niebezpieczeństwo. Były przykłady w Rosji, że rodzina osób uwięzionych i wskazanych na szubienicę znajdowała się na balach u dworu. W Litwie Dybicz ciągnąc przeciwko Polakom, a Chrapowicki więżąc i tępiąc powstańców, zapraszali publiczność polską na bale i uroczystości zwycięskie. Takowe bale opisują się potem w gazetach jako dobrowolne wynurzenia się nieograniczonej miłości poddanych ku najlepszemu i najłaskawszemu z monarchów.

#### 8. Może samego wiozł Jermołowa.

W Rosji między ludem jest przekonanie, iż car może każdego innego króla wziąć w kibitkę. I w istocie nie wiemy, co by odpowiedziano w niektórych państwach feldjegrowi, który by przyjechał w podobnym celu. To pewna, iż Nowosilców często powtarzał: "Nie będzie pokoju, póki nie zaprowadzimy w Europie takiego porządku, iżby nasz feldjeger mógł też same rozkazy w Wilnie, w Paryżu i w Stambule z tą samą łatwością wykonywać". Odebranie rządów Gruzji generałowi Jermołow, którego imię u Rosjan było bardzo popularne, uważano za rzecz ważniejszą niż zwycięstwo nad jakim królikiem europejskim. Temu mniemaniu Rosjan dziwić się nie należy. Przypomnijmy, iż Jego Królewicza Mość książę Wirtemberski, oblegając z wojskami sprzymierzonymi Gdańsk, pisał do generała Rapp, iż generał rosyjski równy jest co do stopnia królowi i mógłby nosić ten tytuł, jeżeliby taka była wola cesarska. — Ob. pamiętniki generała Rapp.

#### 9. Musiano niegdyś wylać rzekę złota.

Te słowa wyrzekł król Gotów, ujrawszy po raz pierwszy Kolizeum w Rzymie.

#### 10. Z zegarów miejskich zagrzmiała dwunasta,

A słońce już się na zachód chyliło.

W dniach zimowych w Petersburgu około godziny trzeciej już mrok pada.

#### 11. I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka.

Dymy miast północnych, w czasie mroźnym wznoszące się pod niebo w kształtach fantastycznych, tworzą widowisko podobne do fenomenu zwanego mirage, który zwodzi żeglarzy na morzach i podróżnych na piaskach Arabii. Mirage zdaje się być już miastem, już wsią, już jeziorem albo oazą; przedmioty wszystkie widać bardzo wyraźnie, ale zbliżyć się do nich niepodobna; zawsze w równej od podróznego znajdują się odległości i na koniec nikną.

#### 12. Wydarte świeżo morzu i Czuchońcom.

Finowie, po rosyjsku zwani Czuchońcami albo Czuchnami, mieszkali na brzegach błotnistych Newy, gdzie potem założono Petersburg.

#### 13. Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

U wielu historyków znaleźć można opisanie założenia i budowania Petersburga. Wiadomo, iż mieszkańców do tej stolicy gwałtem spędzano i że ich więcej niż sto tysięcy w czasie budowania wymarło. Granit i marmur zwożono morzem ze stron dalekich.

14. Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie.

Wyznania, które się odłączyły od Kościoła katolickiego, są protegowane szczególnie w Rosji; naprzód stąd, iż zwolennicy tych wyznań z łatwością przechodzą na wiarę grecką za przykładem niemieckich księżniczek i książąt; potem, że pastorowie są najlepszą podporą despotyzmu, wmawiając ludowi ślepe posłuszeństwo dla władzy świeckiej, nawet w rzeczach sumnienia, w których katolicy odwołują się do decyzji Kościoła. Wiadomo, iż wyznania auszburskie i genewskie na rozkaz króla pruskiego połączyły się w jeden Kościół.

15. Myślisz, że chodzą po mieście kominy.

Para z ust wychodząca w czasie tęgich mrozów daje się widzieć w kształcie słupa, długiego częstokroć na kilka łokci.

16. Druga carowa pamiętnik stawiała.

Na pomniku Piotra jest napis: Petro primo Catharina secunda.

17. I w mieście pada na wznak przed carową.

Ten wiersz jest tłumaczony z rosyjskiego poety, którego nazwiska nie pomnę.

18. Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Pomnik konny kolosalny Piotra roboty Falconeta i posąg Marka Aureliusza stojący teraz w Rzymie w Kapitolium są tu wiernie opisane.

19. Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy.

Konie jazdy rosyjskiej piękne są i drogo kosztują. Koń żołnierski gwardyjski płaci się często kilka tysięcy franków. Człowieka rosteo, miary przepisanej, można kupić za tysiąc franków. Kobiętę w czasie głodu na Białorusi sprzedawano w Petersburgu za dwieście franków. Ze wstydem wyznać należy, iż panowie niektórzy polscy z Białorusi tego towaru dostarczali.

20. Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie.

Tarantule, rodzaj wielkich jadowitych pająków, gnieźdzących się na stepach południowej Rosji i Polski.

21. Jak arlekiny: pełno na nich wstążek.

Orderów rosyjskich, licząc w to różne ich klasy tudzież cyfry cesarskie i tak nazwane sprzążki z liczbą lat służby, jest około sześćdziesięciu. Zdarza się, że na jednym mundurze świeci dwadzieście znaków honorowych.

22. Ani się zarzną, ani zachorują.

Przed niewiele laty jeden z dworskich urzędników zarznął się dlatego, iż na jakimś obchodzie dworskim naznaczono mu niższe miejsce, niż podług hierarchii należało. Był to Watel czynownictwa.

23. Kiedy go tańczyć uczą guwernery.

Portret carewicza następcy tronu można zobaczyć w galerii obrazów petersburskiej Ermitażu. Malarz Anglik Dow wystawił go w postaci dziecka w mundurze husarskim z biczem w ręku.

24. Oleszkiewicz, malarz znany w Petersburgu ze swoich cnot, głębokiej nauki i mistycznych przepowiedni. Obacz nekrolog jego w gazetach petersburskich z roku 1830.